MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 36 WARSZAWA 21 SIERPNIA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

POPŁAWSKI I PROGRAM NIEPODLEGŁOŚCI

W TYGODNIKU „Polityka" (10 sierpnia) ukazał się artykuł p. Adolfa Bocheńskiego p. t. „Poglądy J. L. Popławskiego na sprawy narodowościowe". Przyjemnie uderzyło nas to, że autor zainteresował się myślą J. L Popławskiego. Wiele by się spraw w Polsce wyjaśniło, gdyby ludzie myślący i piszący o polityce sięgnęli do „Pism Politycznych"[1]) twórcy nacjonalizmu polskiego i jednego z największych pisarzy politycznych polskich. Oczywiście, gdyby te „Pisma" uważnie przeczytali i dobrze zrozumieli.

Otóż, niestety, nie możemy, sądząc na podstawie wymienionego na początku artykułu, powiedzieć tego o p. Bocheńskim. Powiada bowiem p. Bocheński, że Popławski był przedstawicielem „nacjonalizmu apaństwowego", co się wyraziło w tem, że sprawy mniejszości narodowych traktował nie z punktu widzenia odzyskania niepodległości Polski, lecz z punktu widzenia „rozszerzenia prerogatyw polskości" wszędzie gdzie to robić było można, nie licząc się z tem, jak to wpłynie na rozwój sprawy polskiej, jako sprawy odbudowy państwa polskiego.

Myli się p. Bocheński.

Wystarczy wziąć pierwszy z brzegu artykuł Popławskiego, by być uderzonym przedewszystkiem tem, że każde zagadnienie polskie traktował on jako zagadnienie ściśle związane ze sprawą odbudowania państwa.

Ot, choćby artykuł „Sprawa ruska", z którego cytuje ustępy p. Bocheński, przerywając cytaty w miejscach, które są dlań dogodne. Wszak po zdaniu „Tylko zła wiara i głupota może przypisywać podobne plany polityce narodowej polskiej" — cytowanym przez p. Bocheńskiego — jest u Popławskiego taki dalszy ciąg:

„...zwłaszcza temu kierunkowi, który dążeniami swemi obejmuje całość interesów narodowych, który wyraźnie zaznacza, iż celem ostatecznym naszych usiłowań jest o d z y s k a n i e n i e p o d l e g ł o ś c i p a ń s t w o w e j".

Czyż tak pisać może jakiś „nacjonalista apaństwowy?" Warto też zacytować idący dalej ustęp, którego nie mógł nie przeczytać p. Bocheński, a od którego bije szerokością ujęcia zagadnienia polskiego:

„Jakiś polityk galicyjski, dla którego sprawa polska mieści się w granicach „ściślejszej Ojczyzny", którego dążenia narodowe nie przekraczają Zbrucza, mógłby o spolszczeniu Rusinów myśleć, ale nie polityk, dla którego Polska rozciąga się od Odry do Dniepru, a od Bałtyku nietylko do Karpat, ale może nawet do Czarnego morza i który w swych rozumowaniach i w swej działalności zawsze tę całość ma na myśli".

Brak nam miejsca na obszerne cytytaty, ten przecież — cała polemika Popławskiego ze Stańczykami i ugodowcami warszawskimi, była to właśnie polemika o to, że pierwsze miejsce w polityce polskiej musi zajmować zagadnienie odbudowania państwa. I tej metodzie myślenia był zawsze wierny — mimo wszystkiego, co pisze p. Bocheński — kierunek, którego Popławski był głównym twórcą. Biorę artykuł „Realizm polityczny i przyszła Polska" („Pisma", tom I, str. 84) i czytam co następuje:

„Nasi realiści polityczni są zazwyczaj nieukami politycznymi i zarazem doktrynerami, nie znają historii własnego narodu, zwłaszcza w epoce porozbiorowej i nie mają pojęcia o historii dyplomatycznej państw europejskich. Gdyby tę ostatnią chociaż trochę znali, wiedzieliby, że plany i przypuszczenia, które z pogardą nazywają fantastycznemi i utopijnemi, zajmowały, i to niedawno, bardzo poważnych mężów stanu i znakomitych polityków, a sprawa utworzenia Polski niepodległej nie wydawała się wcale wytrawnym dyplomatom mrzonką, że z możliwością tego faktu w pewnych warunkach liczyły się i liczą gabinety".

Tuż blisko („Pisma", str. 93) jest artykuł „Podwójna polityka", który jest wprost poświęcony zagadnieniu poruszanemu przez p. Bocheńskiego. Zaczyna się tak:

„Sprawa odzyskania niepodległości politycznej Polski przedstawiać się musi każdemu... jako rezultat współdziała-

[1]) J a n L u d w i k P o p ł a w s k i. Pisma Polityczne. Wydanie pośmiertne. Kraków-Warszawa, 1910.

nia dwóch czynników: zbiegu pomyślnych okoliczności zewnętrznych... i naszej wewnętrznej siły narodowej i społecznej".

A nieco dalej w tymże artykule:

„Organizowanie jednak w społeczeństwie naszem siły narodowej jest jednostronne. Poza działalnością polityczną stałą, systematyczną ku wytwarzaniu i pomnażaniu tej siły, kierowaną przez naszą politykę wewnętrzną, która nie powinna odbiegać nigdy od swego wyraźnego określonego celu — istnieje jeszcze sfera polityki zewnętrznej, na którą baczną należy zwrócić uwagę".

Przerywamy cytaty, możnaby je — jak już powiedzieliśmy — ciągnąć w nieskończoność.

Myśl polityczna Popławskiego nie schodziła nigdy z płaszczyzny państwowej. Jeśli zalecał obronę polskości ludu polskiego i ziemi polskiej wszędzie, gdzie tylko obrony wymagała, to dlatego, że sądził, iż istnienie i siła tej polskości zadecydują nietylko o możności odbudowania państwa, lecz i o jego wyglądzie. Powiada p. Bocheński, że bardziej przewidującą i bardziej „państwową" politykę narodowościową prowadzili Stańczycy w Galicji, szukając porozumienia z Rusinami, bo polityka ta dążyła do „przygotowania odbudowy państwa". „Pragnęli oni — pisze p. Bocheński — odbudowania państwa w chwili kiedy naprawione zostaną błędy, które spowodowały jego upadek".

Za jeden z tych błędów uważali politykę narodowościową i wyznaniową dawnej Rzeczypospolitej, chcieli tedy ten błąd naprawić. Była też polityka narodowościowa M. Bobrzyńskiego „w ścisłym związku z austro-polską koncepcją odzyskania niepodległości".

Jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że życie samo wydało już wyrok bezapelacyjny o „koncepcjach politycznych" Stańczyków i Popławskiego. Doświadczenie z okresu wojny i konferencji pokojowej wskazuje, że „austro-polska koncepcja" była fantastyczna i nierealna, bo była oparta na fałszywej ocenie siły i przyszłości monarchii Habsburskiej. Doświadczenie wykazało, że — mimo iż polityką narodowościową czynników miarodajnych w Galicji kierował Bobrzyński, a nie Popławski, Ukraińcy w chwili decydującej zwrócili się przeciw Polsce. Nie lepsze było zachowanie się Litwinów. „Wielkie koncepcje" Stańczyków i Ugodowców warszawskich okazały się złudzeniami, nierealnemi pomysłami, które nie wytrzymały zmierzenia się z rzeczywistością.

Jeśli zaś powstało państwo polskie, to dlatego, że długoletnia praca polityczna obozu, opartego na myśli Popławskiego i innych obozów, widzących w narodzie polskim, a przedewszystkiem w ludzie ostoję przyszłości Polski, wytworzyły i odpowiednie zasoby sił duchowych i odpowiednie zasoby materialne, które w chwili decydującej, gdy się pomyślnie złożyły okoliczności zewnętrzne, umożliwiły i wywołały odbudowanie państwa polskiego.

Jeśli zaś chodzi o terytorium tego państwa, to należy doń wybrzeże bałtyckie, część Śląska górnego, Wilno, no i dawna Galicja Wschodnia tylko dlatego, że na ziemiach tych utrzymał się lud polski, a lud ten utrzymał się między innemi, dlatego, że byli w Polsce politycy, którzy za główny, pierwszy warunek odbudowania państwa polskiego uważali „rozszerzanie prerogatyw polskości".

Pomnażanie sił i posiadania narodu polskiego wszędzie, gdzie naród ten zamieszkiwał, to była właśnie praca na rzecz odbudowania państwa polskiego.

Doprawdy, można powtórzyć za Popławskim słowa jego powyżej zacytowane i zastosować je — po czterdziestu latach — do teraźniejszości: „Nasi realiści polityczni są zazwyczaj nieukami politycznymi i zarazem doktrynerami, nie znają historii własnego narodu".

Boć chyba obowiązkiem każdego, kto chce dziś pisać o ideologii Popławskiego, czy obozu, którego on był jednym z twórców, jest zapoznanie się z tekstami autentycznemi, których nie brak. Jeśli ktoś już nie ma cierpliwości przeczytać „Pisma polityczne" Popławskiego, które za lat kilkanaście będą cytowane obok „Kazań sejmowych" Skargi i „Uwag" Staszyca, to niech weźmie do ręki — jeśli chce z sensem pisać o Demokracji Narodowej — program tego stronnictwa z roku 1903 [2]).

Do zagadnienia tu przez nas omawianego odnosi się rozdział II tego programu. Cele. Czytamy w nim:

„Cele polityczne stronnictwa są następujące:

A). W polityce zewnętrznej: 1) głównym celem politycznym, wynikającym z położenia naszego narodu, jest osiągnięcie niepodległości i stworzenie samoistnego państwa polskiego. 2) Dzisiejszy stan i położenie naszego narodu nie przedstawia warunków zbrojnej lub dyplomatycznej akcji na rzecz niepodległości, ani nawet bezpośredniego takiej akcji przygotowania. Wobec tego stronnictwo demokratyczno-narodowe bierze za punkt wyjścia swej działalności istniejące stosunki i układ prawnopaństwowy i stawia sobie za cel zdobycie w każdym z trzech zaborów stanowisko, zapewniające żywiołowi polskiemu możliwie najwyższą samodzielność narodową, odpowiadającą jego przyrodzonej i historycznej odrębności, jak najszerszy rozwój sił narodowych i wszechstronny postęp ekonomiczny, cywilizacyjny i polityczny, a tym samym zbliżające go do osiągnięcia w przyszłości niepodległego bytu".

W redagowaniu tego programu brał udział Popławski. Przyjęty był ten program na zjeździe Ligi Narodowej, w którym brał udział niżej podpisany.

Teksty są wyraźne i jasne. Lecz — może ktoś powiedzieć: polityka Demokracji Narodowej nie była zgodna z pisanemi wskazaniami. Sąd taki byłby błędny. Są fakty historyczne, które dowodzą niezbicie, że praktyka polityczna naszego obozu była zgodna z głoszoną przezeń doktryną i teorią. Doświadczenie polityczne ostatnich lat pięćdziesięciu dowodzi, że mieliśmy w sprawach zasadniczych rację.

Z doświadczenia tego zaś wyprowadzić trzeba ten wniosek, że kto chce dawać wskazania polityczne narodowi polskiemu, temu nie wolno nie wiedzieć, jakie były dążenia i jaka polityka obozu narodowego w ciągu ubiegłego półwiecza.

Na zakończenie przyznam się do pewnej słabości. Mimo, że uważam tezę p. Bocheńskiego za błędną, mam dlań uczucie wdzięczności, że sięgnął do pism wielkiego pisarza politycznego, polskiego. Będzie to zachętą dla innych, by się zapoznać u źródła z myślą polityczną nacjonalizmu polskiego.

STANISŁAW KOZICKI

[2]) „Przegląd Wszechpolski", r. 1903, str. 721.

TRAGEDIA ROŻDIESTWIENSKIEGO CZY RASY BIAŁEJ?

NA POCZĄTKU bieżącego stulecia Japonia była benjaminkiem krajów wielkiego przemysłu. Jej szybki rozwój gospodarczy oparty na wszystkich niemal zdobyczach techniki współczesnej był mile widziany przez europejski i amerykański kapitalizm. Uprzemysłowienie Japonii dawało możność ogromnych zysków. A że Japonia rozwijała się na wszystkich polach w tempie zawrotnie szybkiem, przeto i zyski były odpowiednio wielkie.

Ogromny przyrost ludności i szybki rozwój przemysłowy przy braku podstawowych surowców (węgla i żelaza, które znajdują się w Chinach) zmuszały Japonię do polityki kontynentalnej, to jest do podbojów na terenie Mandżurji i ziem chińskich.

W zasadniczem więc założeniu tej polityki nieunikniony był konflikt z Rosją, która miała z Chinami wspólną granicę na przestrzeni dziesiątków tysięcy kilometrów, oraz zajmowała więcej niż połowę kontynentu azjatyckiego, zagrażając jednocześnie panowaniu angielskiemu w Indjach.

Za poradą z Berlina Rosja zajmuje port Artura. Zamąca przez to stosunki z Chinami i przyśpiesza wybuch zatargu z Japonią.

A w Rosji są już ludzie, co czuwają nad tem, żeby kolej transsyberyjska miała tylko jeden tor, oraz tylko jeden most na Wołdze.

Nie trudno się domyślić, co się będzie działo z transportem w razie wybuchu wojny z Japonią.

Do tej wojny przeciwnicy Rosji czynili starania wszechstronne. Mme Adan podała w „*Revue Bleu*" niezmiernie ciekawą wiadomość, streszczającą się w tem, że na trzy miesiące przed wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej żydzi amerykańscy złożyli władzom w Waszyngtonie petycję w celach interwencji w wewnętrzne sprawy rosyjskie. Ta petycja wylęgła się na polach Mandżurji.

Gdy zaś wybuchła wojna z Japonją, coraz nowe niespodzianki będą Rosję spotykać.

Naczelnym wodzem powinien zostać doświadczony, pełen zalet żołnierskich generał Liniewicz. Zamiast niego zostaje nim — minister wojny Kuropatkin, który przedstawił carowi plan desantu na terytorium Japonii i wzięcie do niewoli mikada. Zdolny Kuropatkin umie się tylko cofać, na tej taktyce bowiem opiera cały plan wojny. Plan więc był w grubej niezgodzie z taktyką.

Rosjanie nie mieli karabinów maszynowych, bo Dragomirow, jeden z najlepszych zresztą generałów, ale człowiek starej daty, twierdził, że karabiny są rzeczą niedorzeczną w normalnie zorganizowanej armii polowej. Niedorzeczne jest również posługiwanie się telegrafem i telefonem, które nie zastąpi meldunku osobistego. Szybki ogień uważał Dragomirow za marnowanie amunicji, żołnierz bowiem powinien mierzyć dokładnie, powoli, starannie, a dopiero potem naciskać cyngiel. Panowały zresztą wśród wyższych wojskowych takie np. poglądy, że nie potrzeba wcale wzmacniać pozycji, skoro i tak się je opuści prędzej czy później. Ba! — baron Stackelberg objeżdżał pozycje w powozie zaprzężonym w cztery konie. A na front przywiózł ze sobą oprócz żony i jej towarzyszki jeszcze dwie pokojówki, francuskiego kucharza, mleczną krowę i 127 sztuk bagażu!

Natomiast żołnierzom po paru dniach rozłaziły się buty, nie mieli mundurów, zamiast amunicji pociągi przywoziły wino i sardynki. Ranni żołnierze ginęli na polach Mandżurii z upływu krwi, bo nie było noszy, szarpi, środków opatrunkowych i t. p., aczkolwiek rosyjski Czerwony Krzyż zebrał przeszło 11 milionów rubli. Jeden tylko dyrektor naczelny Czerwonego Krzyża rosyjskiego skradł milion rubli, a wiele skradli inni...? Żołnierze na froncie nie mieli mąki, cukru, jarzyn, papierosów, bielizny, butów, płaszczy. koców... ci żołnierze zaś bili się jak lwy, dokazywali cudów bohaterstwa i waleczności. Na tyłach, po biurach ministerialnych i biurach wszelkich innych urzędów szalała korupcja. Ona to zgóry przekreślała możliwość pomyślnego zakończenia wojny.

*

Nigdy nie będzie dokładnie wiadomo, dlaczego pierwsza eskadra Pacyfiku dała się zdziesiątkować Japończykom, którzy wytracili rosyjskie okręty za pomocą min porozrzucanych w zasięgu statków rosyjskich tuż na wodach Port Artura.

Ale zniszczenie tej floty i oblężenie Portu Artura, bohatersko zresztą bronionego przez gen. Kondratienkę, zachwiało potęgą rosyjską w Azji. Kontrola na wodach Pacyfiku wymknęła się z rąk Rosji. Chociaż szalony marynistycznie, nie był to jednak taki głupi pomysł cara (może z inspiracji ks. Uchtomskiego?) wysłania na Pacyfik drugiej eskadry rosyjskiej.

Był to pomysł kapitalny, tylko w wykonaniu feralny. Skoro bowiem na kontynencie pociągi nie strzeżone przez żołnierzy znikały jak kamfora, a sprawcy tych sabotaży pozostawali nie wykryci, jeżeli zamiast karabinów na front przychodziły transporty szampana, spodziewać się było można z góry, że i ekspedycja drugiej eskadry Pacyfiku ulegnie temu samemu losowi.

Na czele tego gigantycznego przedsięwzięcia stanął admirał Rożdiestwienskij [1]). Człowiek niezwykły, niepospolity, żołnierz wielkiej wiedzy i charakteru. Bohater. Ale cóż mógł poradzić, jeśli miał przeciw sobie skorumpowaną wyższą biurokrację i tajną mafię, działającą w Rosji i na wszystkich terenach, gdzie możnaby Rosji szkodzić. Rożdiestwienskij mógł odbyć rajd jedyny w historji świata, to znaczy eskadrę swoją, złożo-

[1]) Dzieje tej epopei opisał Niemiec bałtycki Frank Thies w książce „Cuszima". Inst. Wydawn. „Plan". Warszawa 1938, str. 432. Przekład Jadwigi Bułakowskiej — dobry. Tłumaczka jednak stale pisze błędnie nazwisko adm. Rożdiestwienskiego. Wspaniały jest opis bitwy morskiej pod Cuszimą. Zarówno admirał, jak i marynarze, wzbudzają uczucie wysokiego podziwu i szacunku. Autor w wielu wypadkach wywołuje wrażenie, że nie chce pisać tego, co wie, w sprawach dotyczących dezorganizacji Rosji przez „obce agentury", jakbyśmy dziś powiedzieli.

ną z 42 okrętów, doprowadzić do Władywostoku, mógł nawet zwyciężyć w bitwie morskiej, co przy pewnych warunkach było możliwe. Ale z góry był skazany na przegraną z mafią, działającą wewnątrz kraju.

Oto bowiem płyty pancerne na statkach były cieńsze o parę cali niż należało; dalmierze, zmontowane przez optyczne firmy niemieckie, nie nadawały się do użytku; radiostacje, zainstalowane na okrętach drugiej eskadry przez niemiecką firmę Slaby-Arco, nie nadawały się również do użytku; na okrętach nie było luf wymiennych... wszędzie tandeta, dostarczona przez wojennych spekulantów, a może także oprócz tandety i coś innego jeszcze.

Boć przecie przed wysyłką wszystko było kontrolowane i sprawdzane.

To był początek. Golgota zaczęła się dopiero w drodze. Kotły i maszyny psują się stale. Winien temu węgiel angielski Cardiff. Doskonały węgiel walijski idzie tylko do Japonii. Ale i ten kiepski węgiel Rosja kupuje na wagę złota. Anglia ustanowiła kontrolę we wszystkich portach. Pamiętajmy bowiem, że jest to wojna Rosji nietylko z Japonią, ale i bezkrwawa wojna z Anglią oraz z Ameryką. Anglia więc utrudnia ładowanie węgla. Drugą eskadrę Rożdiestwienskiego ratuje z tej opresji niemieckie towarzystwo nawigacyjne: „Hamburg-Amerika-Linie", na którego czele stoją dwaj żydzi niemieccy Ballin i Warburg, skoligaceni węzłami rodzinnemi z wielką finansjerą żydowsko-angielsko-amerykańską.

Na eskadrę Rożdiestwienskiego czekają wszędzie po drodze węglowce „Hamburg-Amerika-Linie", które na otwartem morzu przeładowują węgiel na statki rosyjskie. Marynarze rosyjscy nie mają słów uznania: „morowe chłopaki — te Niemcy".

Niemcy zaś, sprzedając — w tych warunkach — Rosji węgiel, robią doskonałe interesy: materialne i moralne.

Wreszcie na Madagaskarze powiadają: stop! Dalej węgla nie dajemy. Na Ocean Indyjski nie jedziemy. Niech sobie teraz druga eskadra rosyjska robi co chce, to nas nie obchodzi. Nie chcemy swych węglowców narażać na to, żeby zostały zatopione przez Japończyków, jako część floty rosyjskiej.

Pertraktacje admirała Rożdiestwienskiego z „Hamburg-Amerika-Linie" trwają dwa miesiące, a przez ten czas mocno poturbowana japońska flota admirała Togo ukończyła swój gruntowny remont. *Da liegt der Hund begraben.*

*

Japonia, jak się rzekło, była beniaminkiem krajów wielkokapitalistycznych. Przytem Wielka Brytania i U. S. A. dążyły do tego, by zahamować ekspansję Rosji w kierunku Pacyfiku. Ekspansję Rosji, o której mówiono, że to kraj wielkich możliwości, ale ogromnie zacofany. Kraj, gdzie wszystko idzie żółwim krokiem. Rosja miała zresztą „złą prasę" międzynarodową, była bowiem twierdzą wszelkich ruchów antyrewolucyjnych. No i była antysemicko nastrojona. To wystarczało.

Można się domyślać, że były dostateczne powody polityczne, że utknęło ładowanie węgla przez transportowce niemieckie. Podstawa dyplomacji, aby wilk był syty i owca cała, znalazła zastosowanie i w przypadku z Rożdiestwienskim.

Przestano ładować i pertraktować, póki się flota admirała Togo nie wyremontowała. Flota rosyjska, któraby płynęła o te dwa miesiące wcześniej w kierunku Władywostoku, znalazłaby się w innych, pomyślniejszych warunkach, z powodu innego układu wspólnych sił morskich.

Wszakże Niemcy nie mieli zamiaru zrzekać się możliwych zysków. Skoro więc flota admirała Togo była, po wyremontowaniu, gotowa do stoczenia bitwy z flotą Rożdiestwienskiego, wówczas transportowce „Hamburg-Amerika-Linie", zarządzanej przez Ballina i Warburga, niemieckich żydów, skoligaconych z angielsko-amerykańską finansjerą, — wówczas to transportowce zaczęły ładować węgiel na okręty rosyjskie.

Prowiantowania eskadry rosyjskiej podjęła się odeska firma Gincburg. Prowiantowanie dobre było, ale tylko do Madagaskaru.

Teraz zaczyna się psuć gruntownie. A oprócz węgla i prowiantu dla 10.000 ludzi, trapionych zresztą przez choroby tropikalne, eskadra adm. Rożdiestwienskiego nie otrzymuje z z ojczyzny nic więcej.

Z ojczyzny dochodzą tylko złe wieści.

*

Szpieg japoński Akaszi wydał przeszło ćwierć miljona rubli na broń dla rewolucjonistów rosyjskich. Bankierzy „amerykańscy" Straus, Schieff i Seligman, popierający Sun-Jan-Tsena, finansujący przewroty w Persji i Turcji, nie pozostali bezczynni na terenie Rosji.

Port Artura broni się bohatersko, stosy trupów po obu stronach. Rożdiestwienskij płynie do Władywostoku. Szkalowany i okrzyczany przez prasę całego świata za wariata, Rożdiestwienskij z niezłomnym uporem, przezwyciężając wszelkie trudności, co i raz wyrastające po drodze, prowadzi swą eskadrę ciągle naprzód, coraz bliżej Władywostoku.

Gdyby mu się to udało, Japończycy zostaliby zwyciężeni. Na Pacyfiku i w Azji panowaliby Rosjanie.

Rosja stoi w przededniu rewolucji. Tłumienie tej rewolucji odciąga rosyjskie siły wojskowe z Mandżurii. Nad jej przebiegiem czuwa z Genewy Lenin, którego w 12 lat później zużytkują Niemcy i poślą do Rosji w zaplombowanym wagonie, a sztab niemiecki zaopatrzy go złotem, otworzywszy dla jego wysłańców kredyt w bankach szwedzkich. Złoto ułatwiło rozpowszechnienie się bakcyla komunizmu. Złoto grało dominującą rolę w wojnie rosyjsko-japońskiej. Wyższe sfery były niemal zupełnie skorumpowane. Nic nie pomogła waleczność żołnierza armii rosyjskiej.

Sposób prowadzenia wojny jest wyłączną własnością narodu — powiada Thiess. Otóż Rosja musiała walczyć na trzech frontach: z Japonią, z korupcją wyższej biurokracji i z termitami rewolucji. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy rewolucja przyczyniła strat pół miliarda rubli.

Rożdiestwienskij nic nie wie, że upadł Port Artura, że rewolucja w Rosji. Płynie naprzód. Kierunek — Władywostok. Dokonywa cudów energii, podczas gdy jeden z jego marynarzy, kapitan Kłado, rozjeżdża po Rosji z odczytami wymierzonemi w siłę bojową kraju, na łamach prasy po-

daje wiadomości, które są zdradą stanu i za których ujawnienie powinien wisieć. Kłado niewątpliwie jest działaczem obcej agentury. Ale nie spadnie mu nawet włos z głowy. Japończycy skrzętnie zbierają te wszystkie informacje dla swoich potrzeb. Prasa japońska milczy, prasa rosyjska zaś korzysta z każdej sposobności, by ujawniać szczegóły, szkodzące Rosji. Ale bo też większość prasy rosyjskiej nie jest w rękach rosyjskich.

*

W cieśninie Cuszimy zetknął się admirał Rożdiestwienskij z Przeznaczeniem. Eskadra jego została zniszczona. Ale za cud należałoby poczytywać, gdyby wygrał bitwę, lub zdołał Japończykom umknąć. Zachował się jak bohater, niemal wszyscy podwładni zachowali się podobnie. Każdy spełnił swój obowiązek żołnierza.

Ciężko ranny, nieprzytomny, zatruty gazami japońskiemi — dziw, że żywy — dostał się do niewoli.

Gdy leżał w szpitalu, pół martwy, wszedł do jego pokoju oficer i zameldował: „Admirał Togo prosi, by Pan nie odmówił mu zaszczytu i zechciał pozwolić, by złożył Panu swe uszanowanie...“

Przy jego łóżku stanął admirał Togo.

A teraz inny obraz. Ostatni dzień pobytu admirała Rożdiestwienskiego w Japonii. Działa tu przewodniczący komisji repatriacji jeńców, generał Daniłow. Przybył już ze swym sztabem do Kioto. „Ma strasznie wiele ważnych czynności, lecz brak mu czasu, by złożyć wizytę admirałowi Rożdiestwienskiemu. Wszyscy oficerowie są tym faktem oburzeni...“

Admirał wraca przez Syberię do Petersburga. W drodze zbuntowane tłumy, atakujące pociągi, skoro się dowiędzą, że jedzie Rożdiestwienskij, witają go z szacunkiem i przepuszczają wolno. Rewolucja zalewa cały kraj. Admirał przybywa do Petersburga! Nie wita go nikt z ramienia rządu.

Admirał Rożdiestwienskij, który wiele widział i wiele zrozumiał, zdecydowany jest przeprowadzić „czystkę” w ministeriach i w sztabach.

Próbują go przekupić. Nie udaje się.

Więc — wytaczają mu proces.

Chcą go skompromitować i skazać.

Drży bowiem ze strachu przekupna biurokracja.

Działają tajne mafie, które nie dopuszczą do wzrostu potęgi Rosji.

Pozbawiono go jednak tylko stanowiska, z powodu „zaniedbania obowiązków służbowych”, bo śmiertelnie ranny i nieprzytomny dostał się do niewoli.

Rożdiestwienskij, którego nie zabiły granaty japońskie, w półtrzecia roku zmarł pod wpływem moralnych ciosów, zadanych w ojczyźnie.

W tym czasie Rudolf Martin (w dziele „*Die Zukunft Russlands und Japans*“) prorokował, że rewolucja rosyjska, która się zaczęła w r. 1905, będzie trwać 30 do 40 lat, a najpóźniej w r. 1920 Rosja ogłosi bankructwo państwowe i przestanie płacić długi, przez co osłabi Francję gruntownie, doprowadzając do znikomej wartości alians francusko-rosyjski.

Premier japoński baron Tanaka w r. 1929 mówił: „Dla podboju Chin, musimy wpierw podbić Mandżurię. Dla podboju zaś świata, musimy przedtem zdobyć Chiny”. Generał Araki w swym manifeście pisze, że Japończycy winni władać całym światem.

Na razie zdobywają Chiny. A towary japońskie zalały rynki azjatyckie. W Hong-Kong, Sajgonie, Bangkoku, Kalkucie, w Indiach Holenderskich i Angielskich, w Indochinach, na Malajach i w Oceanii — kupiec europejski i amerykański krok za krokiem cofa się przed naporem kupca japońskiego.

Cuszima, ten grób floty rosyjskiej przygotowany przy pomocy neutralnej Europy, to było jednocześnie wschodzące słońce potęgi japońskiej.

Obecna, bez obsłonek, walka dwuch imperializmów: japońskiego i rosyjskiego — może drogo kosztować Europę.

Na horyzoncie coraz widoczniej rysuje się zatarg rosyjsko-japoński.

WŁADYSŁAW WOLERT

STANY ZJEDNOCZONE A. P.

W ŚWIETLE LITERATURY POLSKIEJ[1])

W OWYCH latach, gdy dokonało się odkrycie Ameryki, Polska pod rządami dynastji Jagiellońskiej osiągnęła największą potęgę polityczną i stała się najmożniejszem państwem Europy Wschodniej. Ten rozrost polityczny szedł w parze z jednoczesnym rozwojem Polski na polu kulturalnem, w znacznej mierze dzięki ciągłemu związkowi z zachodnią nauką i sztuką. Młodzież polska, studjująca często na uniwersytetach zagranicznych, zwłaszcza włoskich, dowiadywała się o wszystkich ważniejszych zdarzeniach, jakie miały miejsce w dalekich krajach. Tem się też tłumaczy, że w t. zw. złotym wieku literatury polskiej nie brak wzmianek i o świeżo odkrytym Nowym Świecie. W tych wzmiankach nie obyło się, rzecz prosta, i bez szczegółów fantastycznych; najwięcej ich w popularnej „Kronice wszystkiego świata” Marcina Bielskiego.

W następnem stuleciu niemal zupełnie osłabło zainteresowanie czytelników polskich dla spraw lądów za oceanem. Dopiero w XVIII wieku polska publiczność zaczęła się znów poważniej zapoznawać z Ameryką, głównie za pośrednictwem literatury francuskiej. Jedną z owych książek francuskich przełożono na język polski wkrótce po ukazaniu się pierwszego wydania. Była to „Historja polityczna rewolucji amerykańskiej” napisana przez Rainala.

Ta książeczka, mająca wiele zalet literackich, ale nie wolna od różnych niedokładności, była dowodem wielkiego zainteresowania i sympatji, jaką

[1]) Jest to (zmieniona nieco) wersja polska wykładu wygłoszonego w Uniwersytecie Wisconsin (Ameryka Północna) w październiku 1937.

społeczeństwo polskie okazywało młodej republice Stanów Zjednoczonych. Sympatję tę stwierdziło i czynami. Dwaj wybitni Polacy, Kazimierz Pułaski i Tadeusz Kościuszko, wzięli osobisty i chlubny udział w owej wojnie, która przyniosła wyzwolenie kolonjom amerykańskim.

W tym samym czasie, gdy ogłaszano Konstytucję Stanów Zjednoczonych, której stupięćdziesiątą rocznicę właśnie święcimy, zebrał się w Warszawie sejm, który za cel swój postawił naprawę państwowego organizmu Polski, Owocem narad tego sejmu była sławna Konstytucja 3 maja, 1791 roku, oparta na nowych zasadach demokratycznych, a przynosząca pełnię praw obywatelskich mieszczaństwu i ludowi. Do podpisania tego aktu przyczynił się poseł wspomnianego sejmu, serdeczny przyjaciel Kościuszki i zarazem utalentowany pisarz. Jego miano jest Juljan Niemcewicz. Kiedy Konstytucja, a nawet i wolność Polski była zagrożona, walczył on, jako adjutant Kościuszki, w powstaniu 1794 roku. Po dwóch latach spędzonych w niewoli, został uwolniony przez cara Pawła i wyjechał do kraju wolności, do Ameryki; ożeniwszy się z Amerykanką, przyjął obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, w kilka lat jednakże później powrócił do Polski i znów brał udział w jej życiu literackiem i politycznem. W tym to czasie ogłosił kilka artykułów na tematy amerykańskie, wśród nich zaś świetny szkic „Życie i czyny generała Washingtona". W utworze tym wyraził szczery podziw dla narodowego bohatera amerykańskiego, którego sławił jako szermierza wolności, człowieka bez skazy, bezinteresownego patrjotę, wybornego wodza i organizatora. Szkic ten, choć stary i zwięzły, nie utracił i dziś jeszcze wartości literackiej, a nawet i historycznej.

Znaczenie Niemcewicza w literaturze polskiej nie zamyka się w jego własnej twórczości literackiej. Jest on nie mniej ważny przez to, że dał wiele silnych i nowych podniet swym następcom. On to zaznajamiał swych rodaków z wielkiemi dziełami literatury angielskiej, a w ten sposób torował drogę do wspaniałego rozwoju literatury polskiej romantycznej w pierwszej połowie XIX wieku.

Dwaj najwybitniejsi przedstawiciele okresu romantycznego w literaturze polskiej, Adam Mickiewicz i Juljusz Słowacki, należeli do przyjaciół i wielbicieli Niemcewicza i rozczytywali się nieraz w jego pismach. To też nie zdziwimy się, znajdując w ich dziełach wyrazy pochwały i sympatji dla republiki amerykańskiej i jej bohaterów.

W r. 1830 wybuchła w Polsce gwałtowna rewolucja przeciwko despotyzmowi carów rosyjskich. Heroldem tej rewolucji w jej pierwszych dniach stał się Słowacki: i oto znów idea wolności przypomniała narodowi polskiemu Amerykę. W „Odzie do wolności" poeta poświęcił całą zwrotkę Washingtonowi, na którego głos „zmartwychwstał Amerykanin" i który „wolność przyozdobił wieńcem nowej sławy".

Tak więc, gdy wszystkie kraje jęczały pod jarzmem absolutyzmu, oczy tych wszystkich, którzy miłowali wolność, zwracały się w stronę Nowego Świata. Polakom, walczącym o wyswobodzenie swego kraju, republika Stanów Zjednoczonych wydawała się jakoby symbolem Wolności.

Chcąc wlać otuchę w serca polskich wygnańców, który poszli „w kraj świata" po upadku powstania, Mickiewicz napisał broszurę p. t. „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego", w których sławił Wolność jako najczcigodniejszą i najszlachetniejszą ideę narodów. Rządy państw Europy (mówi poeta) zapomniały już o tej idei i zaczęły oddawać cześć różnym bałwanom; wolność uciśniona i wygnana znalazła przytułek jedynie na ziemi amerykańskiej. Przeto zwie Mickiewicz Amerykę „ziemią wolności, ziemią świętą", przyczem za Washintonem Irvingiem nadaje odkrywcy tej ziemi, Kolumbowi, miano ostatniego rycerza krzyżowego, zamierzającego wyzwolić Grób Chrystusowy.

Prócz „Żywota Kolumba" Washingtona Irvinga, Mickiewicz znał i darzył sympatją inne dzieła literatury amerykańskiej. Węzły przyjaźni łączyły go z Fenimorem Cooperem, którego powieści były wtedy (i pozostały po dziś dzień) ulubioną lekturą polskiej młodzieży. Zamiłowanie to pociągało za sobą legjon naśladowców, którzy opisywali życie czerwonoskórych i trudne przygody białych skwaterów i podróżników. Różna jest skala literacka tych utworów: obok słabych produkcji Sygurda Wiśniowskiego trafiają się wcale niezłe powieści Władysława Umińskiego, mające jeszcze dziś zwolenników. Echa tych powieści indjańskich słyszymy jeszcze w „Bezgrzesznych latach" polskiego Mark Twaina, Kornela Makuszyńskiego, który z humorem opowiada, jak jego szkolni koledzy omal nie upiekli żywcem wziętego w niewolę „wodza dzikiego plemienia".

Ale nie tylko powieści dla młodzieży brały podnietę ze stosunków Nowego Świata. Za przykładem Chateaubrianda czyniono też czasem Amerykę fikcyjnym terenem budzących się nowych idei, a wyrazicielami owych idei czy poglądów własnych danego autora stawali się bohaterowie romansowi urodzeni na ziemi amerykańskiej. Pierwsza powieść polska wiążąca się tematem z Ameryką wyszła w r. 1837 z pod pióra kolegi Słowackiego z lat uniwersyteckich, a następnie wybitnego krytyka, Aleksandra Tyszyńskiego. Nosiła tytuł „Amerykanka w Polsce". Była to powieść obyczajowo-tendencyjna, o dość nikłej akcji, a subtelnych djalogach, w których bohaterka tytułowa, córka byłego legjonisty polskiego i czerwonoskórej indjanki roztrząsa i nieraz poddaje krytyce różne sprawy literatury i życia społecznego. Gdy Tyszyński piastował katedrę literatury w Szkole Głównej Warszawskiej, do pilnych słuchaczy jego wykładów należał młodzieniec, który miał niebawem przewyższyć swego mistrza zarówno na polu literackiem, jak i w znajomości spraw amerykańskich. Był nim najsławniejszy pisarz polski, Henryk Sienkiewicz.

Późniejszy laureat Nobla już w swoich latach najmłodszych marzył o podróży do Ameryki, dokąd nęciły go nie tylko książki czytane przezeń w owych latach, nie tylko dzikość puszcz i stepów, oraz chęć przygód, ale też przykład polskich powstańców emigrantów, którzy szli w tę daleką krainę, by w swobodnej republice odetchnąć od brzemienia ucisku, gnębiącego ich ojczyznę i za granicą szukać sposobów odzyskania swobody dla swego narodu.

Wszystkim tym marzeniom przez długie lata stał na przeszkodzie niedostatek materjalny, zaprzęgający utalentowanego nowelistę i powieściopisarza do ciężkiej, żmudnej i wyrobniczej pracy

dziennikarskiej. Dopiero gdy dzięki „Hani” zyskał szeroki rozgłos w Europie, mógł urzeczywistnić swe zamiary i wybrać się za Ocean. Pisze sam o pobudkach, które go do tego skłoniły: „Tak się zmęczyłem przyrządzaniem stylowych *hors d'oeuvres* w rozmaitych dziennikach tutejszych, że zawiesiwszy pewnego poranku chochlikową lutnią, oparłem się dopiero w kalifornijskich pustkowiach”.

Ale były jeszcze inne pobudki owego wyjazdu. Po pierwsze, w owym czasie nabierała aktualności sprawa wychodźctwa polskiego ludu do Ameryki, po raz pierwszy przybierająca rozmiary masowe; publicystyka polska zajmowała się sprawą tą bardzo usilnie, ale częstokroć bywała pozbawiona należytych wiadomości o losie polskich emigrantów, bardzo więc zależało dziennikom na otrzymywaniu informacji dokładnych, głębiej i wszechstronniej ujętych, a przytem opracowanych w ten sposób, by mogły zainteresować i porwać szersze społeczeństwo. Do takiego celu najbardziej nadawał się właśnie „Litwos” (taki był pseudonim dziennikarski Sienkiewicza), który już w owym czasie był bożyszczem czytającej publiczności.

A miał przy tem Sienkiewicz i własne cele literackie. Spodziewał się znaleść nowe wrażenia i tematy do swych powieści i nowel, nadewszystko zaś wiele wolnego czasu na wykończenie swych powieści historycznych, których pomysły od wielu lat nosił w głowie.

Ten ostatni zamiar jednakowoż udało mu się urzeczywistnić dopiero w kilka lat po powrocie do kraju, gdy ukończył swą znakomitą powieść „Ogniem i mieczem”, która stała się słynną w całym świecie w znacznej mierze dzięki angielskiemu przekładowi dokonanemu przez Amerykanina z Milwaukee, Jeremiasza Curtina.

W powieści tej, choć ma tak odległe od Ameryki tło dziejowe i geograficzne, a mianowicie walkę Polaków z kozakami na kresach Polski w XVII wieku, nie zabrakło i wspomnień... amerykańskich. Sam autor przyznawał się, że obraz Ukrainy odmalował na podstawie autopsji stepów amerykańskich, gdyż na Ukrainie nie był nigdy, a nawet nie chciał tam jechać, by nie psuć sobie wrażenia widokiem... pól buraczanych i cukrowni. Także dziki „Czortowy Jar“, stanowiący widownię kilku ważnych momentów powieści, odwzorowany został na kalifornijskim, dzikim kanionie, w którym Sienkiewicz przeżył czas dłuższy.

Lata pobytu w Ameryce odegrały ogromnie wielką rolę w życiu Sienkiewicza i pod każdym względem wzbogaciły jego twórczość. Pod tym względem można Sienkiewicza porównać z innym, młodszym laureatem Nobla, największym dziś powieściopisarzem Skandynawji, Knutem Hamsunem, dla którego pobyt w Ameryce był również momentem przełomowym i decydującym zarówno w życiu, jak w twórczości.

Lata te nasunęły polskiemu pisarzowi wiele tematów, które zużytkował zarówno w swych szkicach i listach amerykańskich, jak i w swych nowelach. Owe szkice, choć ukazały się po raz pierwszy, pod niejednym względem nie straciły jeszcze znaczenia po dziś dzień, wspomniane zaś nowele należą do najlepszych nie tylko w literaturze polskiej, ale w literaturze świata.

Niezwykłe krajobrazy prerji, gór Skalistych, kanionów Colorado i lasów Dalekiego Wschodu, obyczaje i urządzenia społeczeństwa amerykańskiego, tak różne od europejskich, wywarły na jego umyśle niezmierne wrażenie, obudziły w nim zaciekawienie i silniej rozwinęły tkwiące w nim zdawna zdolności malarskie.

Oczarowało go dzikie piękno puszcz dziewiczych, w których przebywał przez czas dłuższy jako łowca, nastrojowa i tajemnicza cisza prerji, rozlewność rzek i jezior, a wreszcie naprzemian groźne i kołyszące poszumy Oceanu Spokojnego. Świadomie niejako rywalizował z najprzedniejszemi wielbicielami przyrody amerykańskiej, zwłaszcza z Bret Hartem, do którego najbardziej zbliżył się rodzajem stylu opisowego i nastroju, i którego prześcignął zarówno plastyką wizji, jako też siłą dramatyczną w świetnej i wielekroć na angielski język tłumaczonej noweli „Przez stepy“. Co do opisu morza, stwierdza znana pisarka angielska Monika Gardner, iż Sienkiewicz nie był wogóle prześcigniony przez żadnego z poprzedników, a z następców miał go prześcignąć jeden tylko pisarz, w mowie angielskiej piszący Polak, Joseph Conrad. Mistrzostwo Sienkiewicza na tem polu ujawniło się przedewszystkiem w noweli p. n. „Latarnik“, gdzie z wysokiego punktu obserwacyjnego latarni morskiej w Aspinvall autor polski uchwycił i odmalował wspaniale ten jedyny w świecie widok, jaki daje sąsiedztwo niemal bezpośrednie dwóch największych, a jakże między sobą się różniących oceanów.

Z równą ciekawością, jaką poświęcił przyrodzie, Sienkiewicz spoglądał na prymitywne siedliska skwaterów i farmerów, jako też i na olbrzymie miasta, rosnące ze zdumiewającą szybkością.

O, trudno mi nawet opowiedzieć, jaki to młody „orli i jak pełen kipiącej żywotności jest ten naród!“ woła w zachwycie, zapoznawszy się z prostotą i bezpośredniością, zdrowiem fizycznem i moralnem społeczeństwa tych osiedleńców. Choć nieraz tęgiemi sztychami pióra odmalował przeróżne osobliwości amerykańskich obyczajów i zwyczajów (niektóre z nich wyśmiał żartobliwie w noweli pod Szekspirowskim tytułem „Komedja z pomyłek“), był w każdym razie gorącym wielbicielem demokratycznego społeczeństwa amerykańskiego i jego moralności. „Kiedym początkowo (pisze w jednym ze szkiców amerykańskich) na wiarę wieści krążących w Europie o Stanach, jeździł i chodził z rewolwerem za pasem, z żelaznym kułakiem w kieszeni i ze szpadą ukrytą w lasce, słowem, uzbrojony, jak jaki rozbójnik w operze— ludzie świadomi tutejszych stosunków śmieli się ze mnie, pytając: czy w towarzystwa kobiece będę chodził również z palcem na cynglu?... obecnie bawię w Stanach przeszło pół roku, byłem w rozmaitych stronach, ocierałem się o rozmaitych ludzi; zdarzało mi się sypiać w samotnych fermach odległych o dziesiątki mil od stron zamieszkanych w szałasach pasterzy, w chatach rybackich: — a nigdzie z nikim nie miałem najmniejszego zajścia, nigdy bezpieczeństwo mojej osoby i kieszeni nie było zagrożone, przynajmniej ze strony Amerykanów. Własność prywatna jest tu rzeczą tak świętą, że możesz ją prawie na publicznej drodze położyć, a nikt jej nie ruszy“.

Choć cywilizacja amerykańska wydawała się Sienkiewiczowi z wielu względów godną naśladowania i przygotowującą możliwe szczęście ludzkości, jednak nie był w podziwie dla niej zaśle-

piony. Owszem, dostrzegał i ujemne jej strony. Przedewszystkiem uświadamiał sobie, ile niebezpieczeństw, trudów i cierpień przebyć musi człowiek świeżo przybyły, nie obeznany z mową tutejszą i warunkami, gubiący się w olbrzymim labiryncie kontynentu amerykańskiego. O takich to przybyszach mówi tragiczna bezbrzeżnie nowela „Za chlebem" przedstawiająca polskich emigrantów, napróżno szukających polepszenia własnego losu.

JÓZEF BIRKENMAJER

(Dok. nast.)

TŁO HISTORYCZNE „OGNIEM I MIECZEM"

(Dokończenie)

21 LUTEGO. Niedziela „wstępna". P. Miaskowski udał się rano wraz z p. podczaszym do Soboru dla przywitania się z posłem moskiewskim. Chmielnicki przeszkadzał tym zetknięciom, nie dozwalając poufnych rozmów. Zwiedzali potem spustoszony zamek i kolegialny kościół O. O. Jezuitów, zniszczony także bardzo i zrabowany. Nawet grobów czerń nie oszczędziła, między innemi trumny Łukasza Żółkiewskiego. Hetman Zaporoski, zaproszony przez Kisiela na obiad, przyjechał wieczór pijany z kilku pułkownikami. Mimo starań komisarzy znów doszło do ostrych przymówek i wypominań ze strony nieokrzesanego i butnego gościa, wreszcie i do sporów.

„Naparł się potem do Pani Wojewodziny do osobnej izby", „Pana Posówskiego znieważył, szubienicą pogroził, że mu się ukazał, co nieuważnie uczynił, bliskim bardzo będąc, przed naszym przyjazdem, śmierci. Powrócił potem do nas pijany o trzeciej godzinie w noc. Długo spał, bo z czarownicami dopijał, które go często bawią, i w tym jeszcze roku szczęścia na wojnie wróżą". (str. 360).

(mowa o Chmielnickim).

Komisarze wciąż frasują się nietylko *de Republica*, ale i o spiżę i paszę dla koni, która droga nad miarę. Dla nawiązania rozmów traktatowych posłano do Chmielnickiego p. chorążego nowogrodzkiego i księcia Czetwertyńskiego, oraz rotmistrza Zachariasza, żądając wyznaczenia terminu rozmów i początku rokowań. Wysłannicy polscy zastali go przy gorzałce i z „towarzystwem", dostali też rychłą i szorstką odpowiedź — jutro będzie sprawa i rozprawa. Teraz on, Chmielnicki jest pijany, odprawia nawet z niczem posłów: węgierskiego i austriackiego, a więc i z Komisji natenczas nic nie wyniknie. Wojna za jakie 3 tygodnie. Chmielnicki podepcze Lachów i odda w jassyr Carzowi Tureckiemu... Tylko

„Korol Korolem budet, co by Korol ścinał szlachtę i Duki, Kniazie, aby wolny był sobie. Zgrzeszy kniaź, urezaj mu szyję, zgrzeszy kozak, toż mu uczynić. Prawda to jest, żem ja lichy, mały człowiek, ale mi to Bóg dał, żem jest Jedynowładcą, Samodzierżcą Ruskim". (str. 360).

Podczas trzeciej sesji (23 lutego) znowóż przemawiał Kisiel. Łagodnie, ze łzami (*cum lacrimis*) opamiętywał kozackiego hetmana. Przestrzegał przed przymierzem z pogany dla prywaty (kłótnia z Czaplińskim) — a nawet, jeśli w imię krzywd wojsk zaporoskich. Zresztą Król obiecuje wszystko, co im się, Kozakom należy, zaspokoić. Równie jak Korona i Litwa, tak i kozactwo nie wytrzyma tatarskiego naporu bez pomocy polskiego żołnierza. Niech więc odstąpią czerni, która niechaj wraca do pługa. Kozacy zato będą po dawnemu wojować, — z pogany i poza granicami kraju. Odpowiedź Chmielnickiego, brutalna i bezpardonowa, brzmiała:

„Szkoda howoryty, był czas traktowaty ze mną, kiedy mnie Potoccy szukali, gonili za Dnieprem, na Dnieprze był czas po Żółtowodzkiej i Korsuńskiej igraszce, był na Piławcach i pod Konstantynowcem, naostatek pod Zamościem, i kiedym z Zamościa szedł niedziel sześć do Kijowa, teper już czasu nie masz, jużem dokonał o czem nie myślił..." (str. 262).

Zdradza swe dalsze zamiary, pragnie wyswobodzić wszystkich Rusinów od Lachów. Obłudnie deklaruje, iż obstaje nie za swą krzywdę i szkodę ale za wiarę prawosławną. Co do pomocy czerni, to gdyby się zgodził ją wpierw rozpędzić, Polacy uderzyliby skolei i na Kozaków. Nie wyrzeka się również pogańskiej pomocy: nie będzie walczył poza granicami Rzptey z Turkami i Tatarami, ale zagarnie ziemie po Lwów, Chełm, Halicz — stanie nad Wisłą, a jeśli szlachta będzie bardzo „krzykać", przejdzie i Wisłę.

W odpowiedziach hetmana zaporoskiego uderza stale motyw solidarności z Królem przeciw chassie szlacheckiej. Upoważniała go po części do tego niezbyt popularna wśród mas polityka dwóch ostatnich Wazów.

Miaskowski tak dalej odtwarza przebieg owych „dyplomatycznych" rozmów:

„Odzywało się i pułkowników kilkanaście, jako jaszczurki jakie, mówiąc, — już minęły te czasy, kiedy nas siodłali Lachy naszymi ludźmi. Silni nam byli dragonami, teper się nie boime, poznaliśmy pod Piławcami, nie owi to Lachowie, co przedtem bywali i bijali Turki, Niemce, Tatary: nie Żółkiewscy, nie Chodkiewicze, Koniecpolscy, Chmieleccy, ale Tchórzowscy, Zajączkowscy, dzieciny w żelaza ubrane, pomerli od strachu, skoro nas ujrzeli, i pouciekali, choć i Tatar nie było więcej zrazu we środę, tylko trzy tysiące. Kiedyby byli do piątku poczekali, i jeden by był żywo do Lwowa nie uszedł" — (str. 363).

Wspomniał sam Chmielnicki i o tem wreszcie, że patriarcha we Lwowie dał mu ślub i rozgrzeszył w Kijowie bez spowiedzi — i tylko kazał kończyć z Lachami.

Więc też on, hetman zaporoski wydał polecenia, aby wojska gotowały się do pochodu „bez wozów bez armat, znajdę je u Lachów. Ktoby z Kozaków wziął kolaskę jedną na wojnę, każę mu szyję urznąć. Nie wezmę i sam żadnej z sobą, chyba juki a sakwy". (tamże). Podobno zaś, jak opowiada Miaskowski, ów patriarcha Jerozolimski za dużą zapłatą rozgrzeszył Chmielnickiego bez spowiedzi *ab omnibus peccatis praesentibus et futuris* i udzielił mu Komunii i sakramentu małżeństwa z jego nałożnicą, żoną Czaplińskiego, — zresztą nieobecną podczas aktu. Patriarcha był szalbierz, co się zowie, co widać i z tego, że Czaplińskiej też posłał do Czechrynia absolucję i ślub. W Moskwie np. ten sam dostojnik, a poseł jego, czerniec — w Czechryniu, obadwaj źle zostali i z nieufnością przyjęci.

Po takiej sesji Komisarze ostatecznie zwątpili o powodzeniu wyprawy, — a nawet o własnym i więźniów, których zamierzali wymieniać i wykupywać, losie i bezpieczeństwie. Z niczem

rozeszli się do swych gospód. Tegoż dnia Chmielnicki odesłał, zresztą uprzednio go obdarowawszy, i posła Rakoczego. Zachwytu u niego dla się nie wzbudził, przeciwnie — dosadne określenie bestia. Ze znaczniejszych więźniów polskich byli tu: Rudaccy i pan Potocki, wzięty w Barze.

Podobnie jak w Kijowie i tu Kozacy

„Lachów jednych topią, drugich tyrańsko sieką; szlachtę obojej płci, dzieci, księży ostatek złupiwszy, spustoszywszy kościoły wszystkie, szukając Lachów i pod ziemią...” (str. 307).

Chmielnicki ostatecznie nie dopuścił do widzenia się komisarzy z posłem moskiewskim, z którym sam pertraktował. Naglony wciąż o odpowiedź w sprawie traktatów, obiecał list, ale opierał się wciąż zawarciu zawieszenia broni. Wreszcie po długich namowach i nacisku ze strony Kisiela przyrzekł odpisać, czy projektowane punkty mu odpowiadają. Żądania jego były nieustępliwe, zwracały się głównie przeciw Jezuitom, a ze względów prywatnych przeciw Czaplińskiemu i księciu Jeremiemu Wiśniowieckiemu, który był jedynym wówczas serio przeciwnikiem zbuntowanego hetmana. Były jeszcze żądania terytorialne i inne. Komisja została odłożona do Zielonych Świąt, a wymagania wciąż były podwyższane i przeplatane groźbami wojennemi.

Wkońcu Komisarze na wszystko mu już pozwalali, chcąc tylko wyrwać się z wrażych rąk i przestrzec króla przed nową nawałnicą. Starali się i o zabranie więźniów, hojnie płacąc, później i składając się do ostatniego grosza. Kisiel dał swoje srebra. Trafiano też do niejednego z upominkami. Proszono o protekcję oboźnego Czarnotę, ale napróżno.

Tymczasem Kozacy pilnie strzegli, aby kto z Komisarzów nie uciekł. Kogo zaś zaskoczono po nocy, topiono przykutego do działa — lub, że spytał się o co („i pana Sinkiewicza podstarościego perejasławskiego, że tylko spytał się o pałaszach pana Chorążego Koronnego, pana swego”. Str. 371). Nietylko, bo i „na armatę swoją pojrzeć się nie dali, a ktokolwiek blisko niej szedł, porwano do dział, czego się komisarskiej czeladzi dostało”. (tamże).

26 lutego. Przed świtem już gotują się Komisarze w drogę. O dniu posłali do Chmielnickiego, którego chcą pożegnać i proszą o wydanie więźniów. Który początkowo zapowiedział swą wizytę, ale później rozmyślił się i kazał do siebie przybyć. Kisiela wieziono, chorego na chiragrę i podagrę na saniach, ale nie wniesiono do izby, więc pożegnalna rozmowa toczyła się w zamkniętem podwórzu. Tamże i napół żywi więźnie stanęli, prosząc choćby o odesłanie do Tatar, ale napróżno. Potockiemu Chmielnicki nawet palem pogroził.

„Zadrżały skóry na panach Koniecpolskim, Grodzickim, Czarnieckim, Łączyńskim i innych, ba i na nas samych, bo przez dwie nocy głosy latały czerni — ubić albo obłupić i na Kudak Komisarzów odesłać”. (str. 372).

Niezbyt trzeźwemu hetmanowi zaporoskiemu przypomniał na odjezdnem Kisiel o *armisticium* do Zielonych Świątek, poczem pułkownicy odprowadzili polską delegację, a na ostatek wiele czeladzi rusińskiej przeszło do Kozaków. Tegoż dnia na noclegu w Woronkowie do stu więźniów uciekło i wmieszało się między sługi i czeladź stajenną: pp. Rzeszowski, Skotnicki, Burzewski i księża, oficerów i dragonów kijowskich kilkadziesiąt.

27 lutego. Jechano 9 mil do Białogrodu, gdzie znów przymknęli do nich: szlachta, szlachcianki i mizerny plebs katolicki, przez śniegi i wertepy aż do Białogródki. Tutaj nocleg był niebezpieczny: pogoń kozacka za katolikami. Wielu zawrócili — obnażywszy, bili lub topili. Ruszono zwiększonym taborem, ale posuwano się tylko 3 mile dla wczorajszego zmęczenia Komisji i wciąż nowego nabytku zbiegłych więźniów, z płaczem goniących swych braci na swobodzie. Wśród nich wiele szlachcianek znacznych i urzędniczek z dziećmi.

1 marca. Są już Komisarze w Brusiłowie. Tam panika. Fałszywy alarm, że Tatarzy idą od Białej Cerkwi. W rzeczywistości pułki kozackie następują już i posuwają się ku Zwiahlowi. Stąd widać, że Chmielnicki ruszył swoje siły z zimowych leży.

4 marca. Są w Korcu, który niepewny jako schronienie, choć książe wyskoczył naprzeciw w kilkaset koni. Kisiel wciąż chory. Trzeba go przenosić z sani do „piekarni”. No, i ciągła trwoga od hultajstwa.

7 marca. Żołnierze z konwoju odmawiają posłuszeństwa i dalszej służby pod Wojewodą, choć przed upłynionym terminem. Napływają dalsze wieści o Chmielnickim, który ogłosił powszechny pobór do wojska, — i o bogactwach, jakie zebrał. Tegoż dnia przybywa Chmielnicki do Trechtymirowa dla odbycia pokuty, mając ze sobą jeńców: Koniecpolskiego, Grodzickiego, Czarnieckiego i innych oficerów (Potockiego i Łączyńskiego, majora Kudackiego odesłał do Bużyna). Dragoni zostali na śmierć pewną w Perejasławiu, P.P. Koniecpolski i Potocki oddali Miaskowskiemu testamenty i listy do swoich, sami dysponowali się na śmierć przy nadarzonej tak szczęśliwie okazji spotkania (bo księdza przedtem nie mieli).

Prócz tych not, streszczonych tutaj pokrótce, djarjusz zawiera: „Punkta supliki do aktu J. K. M. I Rzptey od wojska zaporoskiego” oraz „Kopię listu do Króla J. M. od pp. Komisarzów pocztą posłane z Choszczy, d. 8 *Martii* 1649”. Na tym ostatnim akcie podpisani są: Adam Kisiel Wojewoda Bracławski, Czerkaski, Brogusławski, Nosowski starosta, Wojciech Miaskowski podkomorzy Lwowski, Mikołaj Kisiel Chorąży Nowogrodzki, Jakób Zalewski Podczaszy Bracławski.

Sprawozdanie Woj. Miaskowskiego z mało fortunnego posłowania na Ruś wprowadza odrazu w tok i barwę tamtejszych wydarzeń, w tak niezrównany sposób, choć ze sporemi modyfikacjami poszczególnych wątków anegdotycznych, pochwycone przez autora „Trylogii”. Jak dziś wiemy, brał on pełną dłonią z materiałów historycznych, odnoszących się do XVII wieku, między innymi i w tym samym zbiorze J. U. Niemcewicza z innych jeszcze pamiętnikarzy czerpiąc.

Sądzimy, że przypomnienie niniejsze, rzeczy znanych oddawna, gdy mowa o głębszej nieco znajomości historii literatury polskiej, okaże się ciekawem dla czytelnika arcydzieł sienkiewiczowskich.

STANISŁAW JÓZEFOWICZ

NA WIDOWNI

Rzecz o Romanie Dmowskim. — Dziedzictwo. — Charakter jako podstawa ustroju i styl. — Szczegóły rodowodu. — Dmowski o sobie. — Miarą człowieczeństwa zgodność z samym sobą. — Obojętność na opinię. — Polityk czy artysta. — Cywilizacja i prawo indywidualności.

MIAŁEM zamiar pisać o wrażeniach swoich z pobytu wakacyjnego na Podlasiu, ale wolę powiedzieć coś o tem (skoro piszę w dzień święta narodowego), jak bujnie z tej biednej ziemi mazowieckiej potrafi wyrosnąć geniusz charakteru i myśli narodowej.

W tygodniku „Prosto z Mostu” (35) widzę fotografię Romana Dmowskiego z dodaną pod spodem uwagą, że to zdjęcie (z maja r. b.) uwydatnia w Dmowskim typ mazursko-podlaski. W okolicznościowym artykule jest mowa o szlacheckości Żeromskiego i wogóle socjalistów polskich, i o tem, że więcej szczerości demokratycznej było w ówczesnem pokoleniu „endeckich reakcjonistów”. Przytoczono Dmowskiego.

W książce swojej „Ludzie, idee i czyny” Wł. Studnicki powtarza za śp. Adamem Krasińskim (redaktorem niegdyś „Biblioteki Warszawskiej”) taki fakt: Było to w r. 1905. Dmowski odwiedził Krasińskiego w jego pałacu (Krak. Przedm. 5) i wskazując przez okno w gabinecie rozległy dziedziniec pałacowy, powiedział;

—„Ten dziedziniec pamiętny jest nietylko dla pana hrabiego, ale i dla mnie, bo mój ojciec ten dziedziniec brukował”.

Krasiński przytaczał te słowa na dowód, jak dalece Dmowski czuje się silnym, skoro nie tai swego pochodzenia. Było jednak w tem powiedzeniu coś więcej niż manifestacja siły, miało ono głębsze znaczenie.

Tutaj przydałoby się trochę metody zapożyczonej z krytyki literackiej. Dmowski powiedzeń takich nie układał dla efektu towarzyskiego t. j. w celu zainteresowania swoją osobą. One wynikały z toku myślenia politycznego. Może Dmowski nie dbał o to, żeby każde powiedzenie było zrozumiane; wypowiadał się z potrzeby wewnętrznej sprowokowany daną sytuacją. Nieraz narażał się, nie mogąc powstrzymać się od dosadnego dowcipu; mawiano, że niejedno sobie utrudnił przez to w pracy dyplomatycznej. A jednak nie były to wypowiedzenia przypadkowe. Zarysowywały one indywidualność Dmowskiego. Wytwarza zawsze sytuację, nie dbając o to, żeby być gładkim jedynie jej czynnikiem. Naturę ma artysty.

W danym wypadku co nurtowało w duszy Dmowskiego? Był to r. 1905, a więc atmosfera rewolucji. Rozmawia z przedstawicielem obozu konserwatywnego, potomkiem Zygm. Krasińskiego. Czy jako Pankracy z nim rozmawia — on, bliższy przecież sferze robotniczej? Nie. Dlatego właśnie, że blizki mu jest lud roboczy, czuje swój obowiązek i swoje prawo doprowadzić tę sferę do porządku. Konserwatyści się wahają („Upadek Myśli Konserwatywnej w Polsce”), on wie co robić winien. Dlaczego? Bo dla niego nie ma innej sprawy, innych względów po za tą jedną: dobra narodowego.

Myślał tak zwiastun czasów nowych, mających już inną miarę wartości człowieka. Że Dmowski mówił tak o swojem pochodzeniu, to nie była ani brawura, ani odwaga. Nie przywiązuje żadnej wagi do pochodzenia stanowego. Tak, to był dowód jego siły. Ale co daje mu tę siłę i tę dumę? Nie to, że pochodzi z tej czy innej warstwy, lecz że go stać na odpowiedzialność za los narodu i że tego losu drogi zrozumiał.

Autor artykułu o Dmowskim nazywa ten stan moralny „dumą pracy”, dumą demokratyzmu. To nie trafia w sedno psychologii tego stanu. Duma ta płynie z poczucia, że dana osobowość osiągnęła najwyższy szczyt rozwoju przez zespolenie się z jaźnią narodu.

— — — — — — — — — — — — —

Wiosną 1923 r. bawiłem dłuższy czas w gościnie u Dmowskiego w Chludowie pod Poznaniem. Bardzo się cieszył z tej swojej siedziby, nie myślał o możliwości jej utraty. Pielęgnował drzewa owocowe, karczował krzewy dzikie i pracował raźnie przy biurku. Spędzaliśmy długie godziny na rozmowach. Niektóre z nich wynotowałem. Przedewszystkiem co do owego rodowodu.

Dmowski obliczył, że w rodzie jego na każde pokolenie przypada lat 50. Dziad jego Kazimierz Dmowski urodził się parę lat przed pierwszym rozbiorem Polski, ojciec Romana Walenty w roku upadku Napoleona w przeddzień otwarcia Kongresu Wiedeńskiego (1814). On sam zaś urodził się w roku upadku powstania (1864) w pięć dni po egzekucji Członków Rządu Narodowego na stokach Cytadeli warszawskiej.

Dziad Kazimierz urodził się jeszcze w starem gnieździe rodzinnem na Podlasiu w Dmochach ziemi Drohiczyńskiej. Dmowscy pochodzili z drobnej szlachty mazurskiej, która wypierała Jadźwingów i kolonizowała Podlasie. Znaleść można ich nazwiska w najdawniejszych dokumentach z czasu, gdy ziemia ta należała do W. Księstwa Litewskiego.

Można znaleść o tem wiadomości w dziele Aleks. Jabłonowskiego o Podlasiu. Nie widać Dmowskich na wyższych urzędach; o jednym jest wiadomość, że był posłem ziemi Liwskiej i podpisał elekcję Sasa Augusta. Dmowski Józef Alojzy, ur. na Podlasiu w Hreczkach, dr. teologii, profesor filozofii w kolegium rzymskiem, wyjechał za granicę 1817. Wydał dzieło „*Institutiones philosophicae*”, 3 tomy. Rzym 1840 (Enc. Org.).

Mnożąc się i dzieląc ziemię, wytworzyli liczny ród zagonowej szlachty. Dziad Kazimierz jeszcze był synem posiadacza niewielkiej wioszczyny. Opuścił ją, gdy szedł do powstania Kościuszkowskiego i już tam nie wrócił, pozostawiając puściznę bratu. Sam osiadł na dzierżawie koło Dębego W. (10 mil od Warszawy). Tam się urodził ojciec Romana Walenty.

Przemarsz wojsk napoleońskich, idących na Moskwę, zrujnował go jako dzierżawcę. Uwikłał się potem w procesy i — jak przystało na prawdziwego szlachcica podlaskiego — przeprocesował wszystko do ostatniej koszuli. Umarł w nędzy.

Syn jego Walenty, mając lat 14, został robotnikiem brukarskim w Warszawie. Z zarobionych 50 groszy dziennie utrzymywał chorą matkę (pochodziła z Litwy) i dwie nieletnie siostry.

Matka Romana, Józefa z Lenarskich, pochodziła również z ubogiej szlachty mazowieckiej.

Dmowscy mieli herb Pobóg, Lenarscy — Ślepowron. Rodzina matki przeniósłszy się do miasta, zajęła się garbarstwem. Matka Józefy Lenarskiej, Asnykówna z domu, pochodziła z mieszczan toruńskich. Na prawym brzegu Wisły, naprzeciwko N. Miasta i dawnej Cytadeli było osiedle „Garbarze", gdzie siedzieli posiadacze drobnych zakładów garbarskich. Jednym z nich był dziad Romana Ignacy Lenarski. Tworzący się w pierwszej połowie XIX w. wielki przemysł garbarski pochłonął te drobne warsztaty. Lenarski zmarł w nędzy, a córka jego jako 12-letnia dziewczyna utrzymywała siebie i rodzeństwo z szycia rękawiczek.

Oboje tedy rodzice Romana Dmowskiego przebyli w młodości srogą szkołę biedy i pracy. To też, gdy założyli rodzinę, za główne zadanie życia postawili sobie zapewnienie przynajmniej dzieciom swoim możliwości wydobycia się na wyższy poziom bytu. Ojciec był już wtedy majstrem brukarskim, pracującym na własną rękę, a znanym z tego, że brał najdrożej, a wykonywał najlepiej. Oprócz tego był rybakiem. Dzierżawił jeziorko Skaryszewskie (łacha wiślana oddzielająca park Skaryszewski od Pragi). Nad brzegiem tej wody posiadał trzy morgi gruntu, odziedziczone po dziadku matczynym. Ziemia ta przedstawiała wartość stu talarów (600 złp.). Nie było na niej domu, spalił się bowiem podczas bitwy pod Grochowem. Mieszkał tedy Walenty Dmowski nad wodą w domku, wynajętym od p. Jareckiej, matki znanego muzyka. W tym domku urodził się Roman.

— — — — — — — — — — — —

Tyle co do pochodzenia. Ignacy Chrzanowski w nr. 23 i 24 „Myśli Narodowej" z r. b. w szkicu „Młodość Romana Dmowskiego" podał główne daty tego rodowodu i przedstawił, jak z tego gniazda dobył się na świat wielki polityk i pisarz.

A jednak to nie było samorództwo, jak to określa Studnicki. Z pośród ludzi. z którymi blisko żyję, nie słyszałem od nikogo tyle hołdowniczych słów dla rodziców, co od Dmowskiego. Im przypisuje, że go wychowali na człowieka, dbającego ponad wszystko o rozwój swego człowieczeństwa. Bo trzeba to najpierw wiedzieć o Dmowskim, zanim się zacznie o nim mówić, że jest to ustrój psychiczny i moralny, wyrastający z charakteru. Nie — z t. zw. talentu, intelektu czy serca, lecz z niezwykle mocno zbudowanego charakteru, rzec można podstawą tej wspaniałej budowy jest wola uczynienia z siebie pełnego człowieka.

Zważcie, że jeśli chodzi o charakter, to nie trzeba na to mieć przodków intelektualistów, przodków bogatych, wytwornych, rafinowanych. Owszem, najlepszą szkołą charakteru jest atmosfera wysiłku i pracy, wysiłku życia, nie liczącego na nic poza mocą własną. To dali Romanowi rodzice i za to ich wielbił, za to, że mu dali wielkie poczucie swego ja i swej mocy, że mu dali pokorne zespolenie z życiem środowiska narodowego. Trzeba mieć dobry aparat człowieczeństwa w tych podstawach charakteru, trzeba mieć styl wewnętrzny, a naród w człowieku się odnajdzie i zajmie w nim pierwsze miejsce. Nie spekulować na t. zw. talentach, czy zdolnościach: bądź człowiekiem, a resztę da Pan Bóg, gdy sprawi, że duszę nawiedzi geniusz narodu. Żeby się pojąć z narodem trzeba mieć charakter, no i czystą rasę. To zawdzięczamy przodkom.

Poznałem w latach 90-ch zeszłego stulecia matkę Dmowskiego. Roman z miłością ręce jej całował i szukał często u niej rady. W Chludowie z przejęciem o niej mówił, jak wiele było mądrości w tej prostej kobiecie. Gdym poznał potem matkę Kasprowicza w Szymborzu, te dwie kobiety zostały mi odtąd w pamięci złączone z sobą. Miałem szczęście poznać matki dwu wielkich twórców. Widzę w ich postaciach apoteozę macierzyństwa.

Wracam jednak do rozmów z Dmowskim. Przytoczę jedną, aby pokazać jego styl. A była to rozmowa *ab imo pectore* wśród wynurzeń osobistych. Była mowa o tem, żeby się nie wzbraniał stałego kierownictwa politycznego.

— Nie jestem — rzekł Dmowski — do dzisiejszych walk politycznych. To nie dla mnie robota, muszą ją prowadzić siły nowe, nowego typu. Myśmy swoje zrobili. To, cośmy chcieli i zamierzyli, przeprowadziliśmy — mamy Polskę w granicach mniej więcej takich, jakie chcieliśmy, zmusiliśmy ludzi do myślenia kategoriami narowemi... Ustrój wypadł co prawda nie po naszej myśli, ale z tego wyrośniemy.

— Ja — ciągnął dalej — jestem do robót większych. Jeżeli przyjdzie taka chwila, że będę potrzebny, to stanę i nie ulęknę się niczego, ale do walki codziennej, partyjnej, parlamentarnej nie zmuszajcie mnie.

— Nie dbam o to, co ludzie o mnie powiedzą, za nic mam ich opinię, nie dbam nawet o to, co potem kiedyś o mnie powiedzą. Nie uznaję wyrazu „zasługa", dla mnie istnieje tylko *OPUS*. Chodzi mi tylko o to, żebym był w zgodzie z sobą samym — ratuję swoje człowieczeństwo.

— Nieprawdą jest, żeby cywilizacja wymagała od człowieka zaparcia się indywidualności. Mam prawo żyć dla siebie także. Zrobiłem co mogłem, resztę życia poświęcę pracy innej, może jeszcze większej. Nie jestem od potocznej pracy politycznej. Niech ją robią już nowi ludzie.

— My — mówił — mieliśmy wyobraźnię twórczą, wskrzeszaliśmy Polskę, myśmy byli filozofami. Dziś potrzeba wykonawców praktycznych i talentów gospodarskich. Gdybym się miał wziąć do polityki, oddałbym się studiom ekonomicznym i skarbowym.

Notuję te rzeczy dla scharakteryzowania typu indywidualności. W wynurzeniach Dmowskiego nie znajdziemy nigdy śladu pomyślenia o karierze, czy szczęściu osobistem. W tego typu ludziach odbywa się bezustanna praca duchowa, właściwa organizacjom twórczym, praca nad dźwiganiem wzwyż siebie i środowiska. Taka praca nie dokonywa się bez walki wewnętrznej. Duchy takie stale są rozpięte na krzyżujących się w sercu dążeniach osobowości i misyjności.

O wielkości decyduje charakter, który syntetyzuje żywot, targany pragnieniami i tęsknotami, w nurcie obowiązku realizowania idei. Nie dane mu było, jak sobie marzył, wyłączyć się z kontaktu z życiem. Widzimy, jak bujnie rozwija się jego praca pisarska, po dawnemu też dzielić się musi ze swojem ideowem środowiskiem duszą swoją i wskazaniami.

Bo któż zdoła się wyszarpnąć losowi swemu.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

PRZYKRA WYMOWA ROCZNICY ZWYCIĘSKIEJ

KAŻDY obchód narodowy ma swoją wymowę. I dzień 15 sierpnia, rocznica zwycięstwa pod Warszawą. Wymowa dnia tego w roku bieżącym była szczególnie charakterystyczna.

Przedewszystkiem: pomyślano poczciwie, żeby, korzystając z okazji, przypomnieć narodowi prawdziwą jego konsolidację z roku 1920 - go. Myśl — jako się rzekło — poczciwa, ale niepolitycznemi powzięta umysłami. Co innego mobilizacja zbrojna w obliczu grożącego Ojczyźnie niebezpieczeństwa, co innego ścieranie się prądów ideowych, aż do zwycięstwa jednego z nich, dzięki posiadaniu najbardziej wartościowego i energicznego aktywu. Konsolidacja Polsce jest potrzebna, nie w myśl jednak toastu: „Panowie bracia, kochajmy się!", ale w imię zasad programowych opartych na światopoglądzie zgodnym z instynktem narodowym, ambicjami narodowemi oraz duchem czasu.

Nie ma co — im więcej mówi się o zjednoczeniu, tem bardziej, tem jaskrawiej uwidocznia się rozbicie, chociażby w imię... konsolidacji. Przykładem ów obchód bitwy warszawskiej, o którym właśnie mowa.

Na terenie stolicy i kraju trzy obchody: Obozu właśnie ...Zjednoczenia narodowego, Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Ludowego. Najbardziej groźnym dla kraju wydał się władzom obchód narodowców. Stąd zakaz w Poznaniu, podczas gdy nie bywa zakazów w dniu 1-ym maja, jeżeli idzie o manifestacje marksizmu w „polskiej" i nie polskiej odmianie, z antypaństwowemi okrzykami co chwila.

Ludowcy obchód swój nazywają obchodem „Czynu chłopskiego". Wydaje się rzeczą bardzo niewłaściwą podkreślanie wyników klasowych w czczeniu rocznicy, która bynajmniej nie była czynem wyłącznie chłopskim. Nawet — prawdę mówiąc — chłopi nie mają się czem chwalić; często wytykają szlachcie, że uzyskiwała od królów przywileje w obliczu potrzeby zbrojnej — przypomnijmy sobie nagwałt uchwalane ustawy o reformie rolnej, którą wdzięczna Ojczyzna miała zapłacić swym synom za obronę... A więc — może by bez tupetu, bez chwalenia się, bez dyskontowania zasług na wyłączne swe konto. Trzeba być bardziej moralnym od tych, których się krytykuje.

Fakty, fakty... A osiemnaście lat temu było tak pięknie.

NAUKA I LITERATURA

POWIEŚĆ NAGRODZONA NA KONKURSIE

JULJUSZ Znaniecki. Michał. Powieść. Nagrodzona na jubileuszowym Konkursie drukarni i księgarni Św. Wojciecha r. 1938. Księgarnia Św. Wojciecha. Poznań 1938. Str. 500.

Powieść jest udanym debiutem. Wysuwa odrazu autora na czoło młodej beletrystyki. Przyznanie temu właśnie utworowi nagrody świadczy o trafnem wyczuciu i ocenie przemian duchowych, dokonujących się w młodem pokoleniu.

Pokolenie to na pierwszy rzut oka wydaje się nieskomplikowanem i łatwem do odgadnięcia. Prymitywizm jego pożądań i zainteresowań umiejscowia je w sferze doznań niemal wyłącznie cielesnych, — a nieuchronne dlą wieku tęsknoty każe zaspakajać w doczesności.

Niezbędną dla każdego mistykę zastąpi sport. Przy jego pomocy przeciętny śmiertelnik łatwo dostępuje najwyższego wtajemniczenia wzruszeń estetycznych, osiąga wysoką sferę zwycięskich upojeń i zapanowania nad własnem ciałem i przestrzenią. Ten stan podniesienia wewnętrznego przychodzi mu stosunkowo łatwo, bez większych wysileń, jakie towarzyszą aktom religijnym. Bez jednoczącej z życiem pokory.

Z tem wszystkiem tylko z pozoru może się człowiek współczesny wydać władczy i szczęśliwy. Opancerzony fizycznością i techniką: szybkością i siłą, nie wynalazł skutecznego lekarstwa na lęk śmierci i opuszczenia, nie ujarzmił drzemiących w głębi niepokojów. Będą one korzystać z chwil słabości i ciszy. Mocny i mądry władca przestrzeni ziemskich i powietrznych okaże się istotą kruchą i wątłą, godną współczucia i nierzadko — przebaczającego miłosierdzia. Ten, który zaborczo korzystał tylko z praw ciała do rozkoszy, zatęskni do innego świata. Wieść o nim, symbol i znak powszechnej miłości, rządzącej wszechświatem, odnajdzie wówczas w uczuciu kobiecego serca. Ono jest bardziej dostępne dla prawd żywych. Może właśnie dlatego, że nie kobiety przodują w konstrukcyjnem, na prawie dedukcji opartem urządzaniu świata.

Taka jest prawda współczesnego pokolenia. Załamanie się wiary we wszechmoc i mądrość człowieka. Bolesne szukanie dróg do prawdy, — ukrytej w odrzuconych niebacznie wiarach i żywiołowych uczuciach.

Pod tym względem, spojrzenia wgłąb epoki, książka Znanieckiego jest w pewnej mierze odkrywcza. Przeraźliwie jasno uświadamia czytelnikowi wyłożone powyżej prawdy. Dzieje młodego inżyniera Michała Gorzyckiego zdają się w pełni je potwierdzać.

Trudno powiedzieć, czy to zawód technika czy wychowanie zrobiły zeń materialistę? Raczej to drugie. Trwożne staranie matki, aby syn nie upodobnił się do ojca, trawiącego ostatnich piętnaście lat życia na obezwładniającem wolę, werterowskiem uczuciu do niedosiężnej dlań fizycznie kobiety.

Autor powieści miał trudne zadanie. Zapragnął ukazać historię takiego spadku miłosnego. Z ojca na syna, który zresztą traci głowę dla dziewczyny, będącej córką ojcowskiej bogdanki. I teraz, cała wartość pomysłu, — znawstwo dwu różnych epok, — leży w kontraście. Dwa pokolenia — dwa sposoby reagowania na podobne zjawiska. Ojciec kocha się nieszczęśliwie, gnuśnieje w sentymentalizmie. Nietylko nie byłby w stanie, z uwagi na tradycyjne pojęcia honoru i wierności, rzucić swą żonę, — ale i nie potrafi usuwać piętrzących się przeszkód. Zbyt mało ma w sobie zaborczości i egoizmu.

Syn jego, Michał wywalcza sobie wzajemność w miłości w sposób wyłącznie czynny.

Prawda, że przekonywa się, na własnej skórze, iż jego spojrzenie nie przebija powierzchni życia i — że posiadane środki siły i władzy nie są w stanie zapewnić szczęścia duchowego. Dowiaduje się ku wielkiemu swemu zdziwieniu, że prócz zdrowego, wysportowanego ciała ma i duszę. A ta jest często lękliwa i głodna. On, który w zbliżeniu dwóch płci widział tylko zbliżenie fizyczne, ulega najbardziej klasycznej miłości, szaleje z tęsknoty. Więcej, własną tępotę materialistycznego spojrzenia na świat przypłaca całkowitem załamaniem życiowem i katastrofą, z której litość go tylko ratuje.

To wszystko prawda, ale nie można jednak temu zaprzeczyć, że Michał zdobywa ostatecznie ukochaną kobietę. Umie jej zaimponować swą bezwzględną energią i szybką reakcją. Zmusza ją niejako do wzajemności, uciekając się

do tradycyjnych, choć odruchowo zastosowanych, metod pięści — wtedy, gdy lodowej zdałoby się skorupy obojętności nic przebić już nie jest w stanie. Nie każdy zgodzi się w tym miejscu z autorem, ale to już zupełnie co innego.

To zestawienie dwóch odrębnych psychik mężczyzny, w ciągłym rozwoju następujących pokoleń — to jeden jakby układ kompozycji powieści, część szkieletu konstrukcji. Układ, powiedzielibyśmy pionowy.

Z nim współistnieje i inny: poziomy. Michał ma brata. Gustaw Gorzycki odziedziczył po ojcu sentymentalizm w miłości i uczuciową subtelność. Różni się jednak odeń twórczą zdolnością nadawania objektywnego kształtu dręczącym marzeniom. Jest utalentowanym artystą-malarzem.

Od Michała dzieli go wrodzona jego naturze dobroć. Gdy tamten od dzieciństwa dręczy koty, a później jako dojrzały automobilista rozjeżdża ludzi po szosach, Gustaw lituje się zarówno nad żuczkiem mizernym jak i nad człowiekiem. Jest pełen litości i miłosierdzia. Porażkę, jaką dzięki brzydocie ciała, poniósł w miłości, przezwycięża nadludzką niemal władzą przebaczenia... Bowiem tylko krzyż przebaczenia jest zdolen rzucić zapomnienie na tragedię, jaka się dokonała w głębinach morza. Na miotane niespokojnemi falami zwłoki jego niewiernej żony.

Pełna jest powieść Znanieckiego irracjonalnej logiki snów i przeczuć, dzielności intuicji i niewygasłych wspomnień dzieciństwa. O tem, że Michał przejechał autem przechodnia — ów cień na szosie — dowiadujemy się naprawdę dopiero ze snu Ireny. Przedtem mogliśmy myśleć, że są to przywidzenia tylko inżyniera Gorzyckiego, szczęśliwego posiadacza aerodynamicznej limuzyny. Skoro jednak sprawdzają się i dalsze rozdziały koszmaru, w jaki krytycznej nocy zapada Irena, sądzimy, że i ten nas ściśle informuje. Nader to oryginalny, przyznajmy, sposób oceny prawdziwości lub nieprawdziwości wieści, dostarczonych przez otaczający nas świat realny. Świadczy o tem, że autor uznaje prócz trzech fizycznie sprawdzalnych wymiarów i czwarty, którego niepodobna ani wymierzyć ani nawet umiejscowić w przestrzeni ani w żadnym z pozostałych elementów układu, w którym żyjemy.

Dzieje „Michała" i jego romantycznej czy neo-romantycznej miłości są pisane czystym i pięknym stylem. Autor ma wyobraźnię malarską, to też obrazy, jakie rzuca przed oczy czytelnika są najbardziej przekonywujące ...wówczas, gdy są to obrazy malowane przez Gustawa — albo przynajmniej jego oczyma widziane.

Atmosfera powieści jest wiejska, — nawet w Warszawie: w pobliżu Łazienek, w kręgu urocznych szumów drzew parkowych. Brzydota miasta coraz mniej przyciąga wyznawców. Dzieciństwo spędzone w mieście nie jest też w stanie dać potrzebnego artyście kapitału wyobraźni.

Jeśli chodzi o psychologię postaci, to oczywiście figury męskie zostały potraktowane pierwszoplanowo, z pewną krzywdą dla bohaterki i matki Michała. Ogólne wrażenie z lektury otrzymujemy czegoś ożywczego i czystego.

St. Józ.

RUCH WYDAWNICZY

W tych dniach ukaże się w Warszawie pierwszy numer nowego, wielkiego tygodnika narodowego „Naród w walce". Wydawca Kazimierz Kowalski. Treścią „Narodu w walce" będzie walka o wyzwolenie narodu polskiego z pod wpływów żydowskich. Pomimo przystępnej ceny (10 groszy za egzemplarz, 40 gr. prenumerata miesięczna), „Naród w walce", drukowany w formacie gazetowym i przypominający układem wielkie tygodniki zagraniczne, zawierać będzie treść bogatą i wszechstronną, choć zarazem przystępną.

Do nabycia we wszystkich kioskach. Osoby, pragnące zająć się kolportażem „Narodu w walce" i akwizycją chrześcijańskich ogłoszeń, zwracać się mogą pod adresem jego administracji. Warszawa, Al. Jerozolimskie 17 m. 5.

*

Quas (Stefan Kwaśniewski) Sposób na żonę. Nakładem Spółki Wydawniczej „Zjednoczenie". Warszawa—1938. Str. 239.

Popularny felietonista, pisujący w jednym z dzienników, zebrał dorobek paru lat i wydał w książce. T. zw. „Kwasy" reprezentują humor na usługach dnia codziennego, nie pozbawiony jednak i głębszego spojrzenia.

Nie jest to satyra niezależna, której przyświeca pewien, wysoki nieraz ideał moralny. (Ze współczesnych może najbardziej zbliża się do tego rodzaju Zygmunt Nowakowski). Kwaśniewski ma raczej na uwadze rozrywkę czytelnika, dlatego też jego codzienne felietony nierzadko noszą charakter krótkich nowelek. W tym rodzaju, przyznajmy autor czuje się najswobodniej. Gorzej mu idzie, gdy podejmuje jakiś temat społeczny albo obyczajowy, gdy z satyrycznym zamiarem rozważa drobne zresztą zazwyczaj wady i usterki.

Świat jego zainteresowań kończy się z rogatkami stolicy, Quas jest piewcą współczesnego drobnomieszczaństwa warszawskiego i jako taki nader ciekawy dla poznania obyczajowości tej sfery.

Cechuje go: niewymuszony koncept i świeża pomysłowość — oraz dobra polszczyzna: język nienagannie czysty i zgrabnie skonstruowany dialog w fikcyjnych sytuacjach. W tym względzie możnaby mu jedynie zarzucić pewną, dziennikarską manierę stylu, polegającą na zbyt częstych acapitach, powodującą zbytnie rozczłonkowanie myśli i w następstwie rozstrzelenie uwagi u czytelnika. Dużą zato zaletą jest inteligentne posługiwanie się pointą oraz właściwa postawa w trakcie opowiadania „kawałów" (trochę zresztą wzorowana na rosyjskich humorystach w rodzaju Zoszczenki): zupełnie na serio, bez jednego mrugnięcia powieką. Autor może wówczas zawsze liczyć w tym trybie na serdeczną gamę beztroskiego śmiechu u swego odbiorcy.

Quas nie degeneruje felietonu humorystycznego, nie apeluje do wulgarnych gustów, jak to stale np. robi Wiech. I ten pewien intelektualizm jego pióra należy mu poczytać za zasługę. Sądząc po jego dotychczasowych wynikach, można mu wróżyć przyszłość literacką. O ile, naturalnie względy podobania się i praktykowane u humorystów powtarzanie własnych konceptów nie zwyrodnią jego muzy...

(St. J.)

*

Zygfryd Gottowt. Linotyp. Książka instrukcyjna. Poznań 1937. Nakładem autora. Str. 188 + nlb. + liczne ilustracje. Mnie, laika pociągnęła pięknem w opisywaniu maszyny, jej precyzyjnego składu i celowości. Nie mniejszą ciekawość budzi i słownictwo, jeżeli chodzi o poszczególne części linotypu. Nazwy tych samych części inne są w województwach północno-wschodnich, inne w południowych i w zachodnich. Naturalnie zawinili tu zaborcy. Linotyp to maszyna niesłychanie precyzyjna i skomplikowana. Autor dał nie tylko wykład teoretyczny, ale — co jest też właściwym celem książki, pouczenie praktyczne.

Na samym początku wspomina o wynalazcy linotypu Ottmarze Morgenthalerze, ur. w r. 1854 we wsi Hachtel (w Szwabii) a zmarłym w Baltimore w r. 1899. Poświęcał się naprzód zegarmistrzostwu, następnie elektryczności, budował pierwsze maszyny do pisania, skonstruowane przez Ch. Moore'a i Clephane'a. Praca ta nasuwa mu myśl — linotypu. Plan swój realizuje w Denisay (w stanie New Mexico). W chwili śmierci Morgenthalera w drukarniach amerykańskich pracowało już kilka tysięcy tych maszyn. — Książka Z. Gottowta pięknie wydana i bogato ilustrowana duże może oddać usługi. J. Św.

*

Żelisława Szyszkowska. Sprawa rozwodowa Ryszarda Montholon. Warszawa 1938. Str. 213.

Wiele jest dziś autorek piszących. Wśród nich powieściopisarki, dramatopisarki i dużo, dużo innych. Istna inwazja kobieca. Prawdziwe panowanie kobiecego pióra, — przy jakże częstej, niestety jałowiźnie twórczej u płci silniejszej.

Są to, przyznajmy okoliczności znakomicie sprzyjające feminizmowi wojującemu, wytworzeniu tendencji całkowitego pognębienia męskiego rodu.

Takiej sprawie ma służyć książka p. Żelisławy. Powstała jako owoc długoletnich doświadczeń i przemyśleń. Pisana zresztą nie krwią lecz żółcią.

Opowiada godne politowania dzieje miłości zdegenerowanego arystokraty, z zawodu muzyka, tyranizowanego przez rodzinę, zabraniającą mu wstąpienia w związki małżeńskie z ukochaną kobietą.

Postać tytułowa odmalowana jest z pasją. Jego partnerka, „ofiara" niezdarnych zapałów, niedługo po ślubie odepchnięta pod presją siostry, ma reprezentować ideał kobiety - człowieka, przeszłej przez „piekło" małżeńskie, znajdującej godność osobistą i zadowolenie w całkowitej niezależności. Pozatem — galeria sylwetek pozbieranych w różnych „wspólnych pokojach". Psychika bezwolnego, upadłego mężczyzny aż nienaturalna w swej żelaznej konsekwencji.

Typowa powieść „na tezę". (St. J.)

Z TEATRU

„SUBRETKA"

UTRZYMAĆ przez całe trzy akty w napięciu publiczność, znużoną upałem to wcale nie jest tak łatwem, jakby się napozór zdawało. Każdy przecież woli siedzieć na Wiśle, a jeśli się już ściągnął do teatru, znak to widomy atrakcyjności przedstawienia, jakie w Teatrze Polskim do spółki spreparowali p. Jakub Deval, autor — i reżyser, p. Al. Węgierko.

Wiele zostało tutaj wygrane świeżością samego pomysłu. Ameryka po raz nie wiem który na scenie nie jest przecież ani jak zwykle ukazana w apoteozie, rozmachu i sile, ani też w ostrym blasku satyry. Prześwietla ją tym razem wewnętrzna dobroć, promieniowanie serca, znajdujące schronienie i ognisko w nowoczesnej rodzinie burżuazyjnej.

Zadecydowała coprawda o tem interwencja francuskiej kultury uczuć w osobie małej Françoise, dzielnej w nieszczęściu i wytrwałej w miłości żony Amerykanina Eryka.

Wewnętrzna budowa sztuki, bliskiej, jeśli chodzi o motyw, Kopciuszka, polega właśnie na kontraście... Zarówno towarzyskiego obyczaju, co widzimy nawet w sposobie nakrywania do stołu (Françoise wyrzuca z jadalni jarzące się świece, które w jej ojczyźnie przynoszą nieszczęście — do każdego natomiast dodaje ogromną porcję chleba), — jak i najgłębszej struktury psychicznej dwóch różnych gatunków ludzkich.

Eryk przywozi sobie żonę z Paryża, gdzie był na studjach. Ma to być zupełna niespodzianka dla rodziców, którzy projektowali zupełnie inną partię. Posażną jedynaczkę, córkę potentata finansowego na miejscowym gruncie. Było już nawet coś w rodzaju zaręczyn.

Sprawę komplikuje zachwianie się przedsiębiorstwa Carringtona seniora. Wymarzony ożenek Eryka wzmocniłby zachwiane stanowisko firmy, zapewnił kredyt. Na pomoc przychodzi Françoise. Z właściwą swej rasie ambicją ryzyka, zgadza się, a nawet sama inspiruje fikcyjne zaręczyny Eryka z Auriol. Do domu teściów wchodzi w fartuszku subretki. Właściwa prawda o sytuacji jest jej własnością wyłącznie — i Eryka.

Kopciuszek jak zwykle zostaje narażony na tysiące przykrości. Ale trzyma się dzielnie i ratuje nawet od katastrofy szwagierkę a od samobójstwa — starego Carringtona. W trudnej roli jedynej w ogromnem mieszkaniu siły roboczej utrzymuje się na najwyższym poziomie.

A przychodzi to jej z niemałym trudem .. gdyż jest w odmiennym stanie. To się zresztą nie może zbyt długo ukryć i przyczyni się do wyświetlenia całej sprawy. Na szczęście interesy Carringtonów uległy już zasadniczej poprawie. Hart małej, czarnej Françoise zrodził właściwe owoce. Pomyślne zakończenie nie jest w tym łańcuchu wydarzeń ani sztuczne ani doczepione.

Pewną komplikację stanowił nawrót sentymentu Auriol do Eryka. Autor zręcznie to wykorzystał w dramatycznych miejscami scenach końcowych. Niewyczerpanem źródłem komizmu staje się słownik w ręku Françoise, tłumaczącej literalnie zwroty francuskie na mowę swego męża.

Sztuka Deval'a — nieco ślamazarna, gdy chodzi o tempo akcji — celuje w intrydze, nienagannej jak zwykle u Francuzów. Nietylko śmieszy i bawi, ale i rozgrzewa pokazem prawdziwego człowieczeństwa.

Całkowitą sympatię licznej publiczności zdobyła sobie w tytułowej roli p. Jarkowska. Zarówno grą jak i *timbre'm* głosu, pamiętnym jeszcze z „Roxy" i „Świerszcza za kominem". Urodą i wdziękiem wyróżniała się p. Kurylukówna (Auriol), prezentująca pozatem wyjątkowo piękny w kolorach kostium letni. P. Wilczówna odznacza się sportowemi ruchami i stylem iście amerykańskiej *star*. Świetnie jak zwykle grał Samborski, naprzemian blednący i ponsowiejący w nagłych przypływach hamowanej z trudem pasji. Zwłaszcza scena w oknie, sto łokci nad brukiem — dostarczyła widzowi nieprzeciętnej emocji P. Pichelski jest szczery, młodzieńczy.. i solidnie opalony. Pozatem grali: Hałacińska oraz pp. Dereń, Myszkiewicz (doskonały — jak zawsze — w epizodzie doktora) i Małkowski. Nowoczesne wnętrza zaprojektowała p. Zofia Węgierkowa. (Należałoby telefon zmienić na bardziej nowoczesny, — znany już publiczności z ekranu). St. J.

Z PRASY

SZKODLIWA ROBOTA „ZADRUGI"

JEST taki periodyk, a nazywa siebie „pismem nacjonalistów polskich". Nacjonaliści ci wywodzą się z koła dawnego Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, odznaczającego się tem kiedyś, że trudno w nim było znaleść Polaka. Sympatycy „Zadrugi" zerwali z żydami dość kategorycznie. Jedyną pozostałością dawnych koneksji jest ich nienawiść do Kościoła katolickiego, nienawiść mająca wszelkie znamiona jakiegoś psychicznego urazu.

W ostatnim (8 — 9) numerze pisma, artykuł wstępny głosi niewzruszalne kanony, któremi grupa się kieruje. Czytamy tam:

> „Wyznawany światopogląd wyklucza inne, wszechobejmuje człowieka. Dając całkowite rozwiązanie sensu istnienia, narzuca człowiekowi określoną postawę wobec bytu, wyznacza reguły, którym życie jednostki musi być poddane, by znalazło usprawiedliwienie w porządku wszechświata, przez się pojmowanego".

Tak pojęty nacjonalizm nie może pogodzić się im z katolicyzmem. No... trudno. Ale dlaczego. Ze wszystkich wrogów Narodu, Kościół wydaje się „Zadrudze" najważniejszym, jeśli wprost nie jedynym — to już musi zastanowić.

Zeszyt, który mamy przed sobą, zajmuje się niemal wyłącznie „rozgrywką" z Kościołem. A więc Piotra Ziemnickiego w artykule: „Polityka wewnętrzna Polski niepodległej" niepokoi mocno „*homo catho - politicus*". Następny artykuł „O żydach" widzi niebezpieczeństwo w „t. zw. katolickiej harmonii socjalnej". „Katolicyzm, (nic innego), nie pozwoli nam na skuteczne zwalczenie żydostwa w Polsce" (!). Udowodniają to poprostu „czarno na białem" tendencyjnie dobrane przez autora cytaty. Jan Stachniuk, przywódca zespołu wytyka Janowi Mosdorfowi katolicyzm przedewszystkiem. J. S. w następnej rozprawce: „Perspektywy przyszłości" zajmuje się zagadnieniem „recydywy saskiej", w której duch katolicki nieposlednią odgrywa rolę. (Znowu ten „*homo catho - politicus*)". Józef Grzanka poprostu zajmuje się „recydywą saską" w artykule zatytułowanym: „Geneza Katolicyzmu dynamicznego". W rubryce „uwagi" znowu upiór katolicyzmu, nie dający spokojnie spać zespołowi „Zadrugi".

Szczytem jednak napastliwości jest następny (niczego nie opuszczamy) szkic p. t. „Czy nie zbyteczna konkurencja?". „Zadruga" mówi tu o żydowskim projekcie założenia w Europie radiostacji do walki z antysemityzmem. „Będzie to radio — mówi autor projektu — państwa żydow-

skiego, wielka rozgłośnia etyki judaizmu: prawdy, sprawiedliwości, wolności człowieka, miłości bliźniego".

Tu następuje komentarz „Zadrugi":

„Przeraziłem się. Przecież ideały tej etyki, słyszę co dzień, co chwila, zewsząd, z każdego polskiego głośnika, radiowego i żywego. W niedzielę rozdzierają powietrze polskie przeraźliwe produkcje przed mikrofonami wszystkich polskich stacji radiowych z uporem, z natarczywością, przed którą niema ucieczki. A że są to ideały etyki katolickiej, a więc „narodowej", więc też wprawdzie oszołomiony tą nieco niesłowiańską napastliwością (oczywiście tak się tylko mi zdaje) słucham jej jednak z powagą dostojną, chociaż trochę nieprzytomną.

Co będzie, gdy rozgłośnia etyki judaizmu rozpocznie swoje produkcje? Tu miłość bliźnich i tam miłość bliźnich, tu wolność, tam też, prawda i sprawiedliwość także. Ideały narodowe, szanować trzeba, tylko jak je odróżniać? Będę słuchał z szacunkiem, aż tu naraz okaże się, że to z Tel-Awiwu.

Co robić?

Skoro ideały nasze i „nasze" są zrządzeniem niebios tak zbieżne, czy nie wskazane byłoby ograniczyć niepotrzebną konkurencję. Wszak, jak to widać, jest to... to samo. Panowie, pogódźcie się!

Poco budować jeszcze jedną stację w dalekim Tel-Awiwie, skoro tuż pod bokiem sześć stacji z podziwu godną wytrwałością, z coraz większym zapałem, wypełnia eter temi samemi ideałami! Warto zrezygnować z nowej firmy, zmniejszy to koszta, a wspólnej cywilizacji będzie się bronić również skutecznie!"

Po artykule poświęconym katolicyzmowi włoskiemu, artykule utrzymanym w tonie podobnym jak i poprzednie, nakoniec „list z Ameryki". Posłuchajmy:

„Bardzo pięknie, że się panowie tak energicznie porywają do pracy. Życzę wam powodzenia, aby siły wasze się pomnożyły w miliony. Ale trudna i ciężka wasza praca w przerabianiu polskiego światopoglądu, do czego Wy dążycie. Przytoczę tu fragment artykułu, który czytałem w tutejszych gazetach, mianowicie kupcy, czyli stowarzyszenie kupców i przemysłowców całej Polski zorganizowało pielgrzymkę do Jasnej Góry. Tu już nie trzeba żadnych komentarzy (kupcy elita polska), by zrozumieć wartość polskiego kupiectwa. Pod jednym względem i tu nie jest lepiej jak w kraju, ta pajęczyna oplątała Polaków, od której ani rusz wyzwolić się nie można. Gdzie człowiek tam i ta pajęczyna się wlecze, bo węszy ten kawałek łatwego chleba. Okoliczności zmuszają człowieka, aby się ogółowi podporządkował, a nie ma mowy o wyłamaniu się, bo pajęczyna, ta organizacja czuwa nad tem, aby jej fundamentów nie podważyć. Trzebaby wielkich wpływów od góry, aby jeszcze wychować młode i zdrowe społeczeństwo w wyzwolonych od wpływów kleru szkołach. Ja jestem piłsudczykiem i nie raz było mi bardzo przykro, że tak się sprawy układały i układają w całkiem przeciwnym kierunku, jak byśmy się spodziewali Polskę zobaczyć...

W Polsce na razie sytuacja nie jest w różowych kolorach, jak idealnie tak materialnie. Kończę i życzę szczęścia w pracy".

Andrzej Kwiatkowski
U. S. A. Syrakuse."

Cały zeszyt poświęcony walce z katolicyzmem, czyli — jak „Zadruga" określa — „systemem duchowym, wyprodukowanym gdzieś w M. Azji".

ba.

Z LISTÓW DO REDAKCJI

NARESZCIE społeczeństwo nasze ocknęło się, uświadomiło sobie istnienie masonerii i przekonało się o jej wpływach na nasze życie polityczne. Bezspornem powinno być, że żadne państwo praworządne i społeczeństwo patriotyczne nie może ani na chwilę zgodzić się, żeby istniały związki konspiracyjne niewiadomo przez kogo kierowane i czyim interesom służące. Pomimo tej oczywistej prawdy znajdują się jednak cynicy, którzy, nie mogąc już zaprzeczać istnienia masonerii, mają odwagę w prasie i dyskusjach towarzyskich twierdzić, że istnienie masonerii było i jest potrzebne, że masonów nietylko nie wolno piętnować, ale należy im okazywać wdzięczność za korzystne jakoby dla Polski czyny, których masoneria dokonała.

Uważam za niewskazane w chwili obecnej polemizowanie z poglądami, czy czyny masonerii naszej, poparte a prawdopodobnie zainicjowane przez masonerię światową, były pożyteczne dla Polski czy nie, to jedno nie ulega wątpliwości, że masoneria, popierając czy też inicjując te czyny miała na widoku interesy własne a nie Polski.

Ludzi wybitnych i patriotów, którzy należeli do masonerii w przeszłości, można zrozumieć, bo w chwilach rozpaczy w czasie rozbiorów i szalejącego ucisku zaborców trudno było analizować krytycznie cele tajnych związków i wstępowanie do nich. Liczono, że przez poparcie ich wyjdzie Polska z niewoli. Ci ludzie szlachetni, nie przypuszczali, żeby ich oszukiwano, i że, spełniając polecenia masonerii, działali często nie dla dobra Polski ale na Jej szkodę.

Dzisiaj Ojczyzna nasza jest niepodległa i naiwność nawet ludzi szlachetnych, znajdujących się w masonerii, nie może być tolerowana.

Polak, służąc wiernie Ojczyźnie i dbając przede wszystkiem o Jej dobro, służy jednocześnie i ludzkości. Nikt nie zabrania mu jawnie głosić zasady chrześcijańskie, według nich postępować i zrzeszać się w tym celu; do tego konspiracyjnych związków, zależnych niewiadomo od kogo, nie potrzeba. Niema narodu tak pokojowo usposobionego i tolerancyjnego jak Polacy, ale Polak nie może być biernym, musi się bronić, gdy na niego napadają i zwalczać tych, którzy chcą wziąć go w niewolę, czy to polityczną, czy to duchową, czy gospodarczą. Polak nie może się zgodzić, żeby jego ziemia, nieruchomości, kapitały, przemysł i handel znajdowały się w obcych rękach, nie może też zgodzić się, żeby życie umysłowe, moralne i duchowe rozwijało się pod wpływem obcym, szczególniej ludu, który uważa się za wybrany przez Boga i którego zasady moralne są sprzeczne z zasadami chrześcijańskiemi.

Taka walka obronna zgodna jest z przepisami ideologii chrześcijańskiej. Wielki już czas zjednoczyć się Polakom do walki przeciwko wszystkim mafiom i międzynarodówkom.

GUSTAW ZABŁOCKI

NA MARGINESIE

— Sąd w Łodzi zdjął konfiskatę z broszury Ks. Krasickiego „Polityka woj. Józewskiego na Wołyniu". Dostać ją można we wszystkich księgarniach.

— Słyszałem. Ale powiadają, że niesłusznie pomawiają p. Józ. o świadomie złą wolę. Tam był kompleks wielkości. Podobno idąc ulicą mówił do siebie: „Jestem Petlurą, jestem Petlurą..."

*

— Zastanawiające jest, dlaczego się tak wahano, czy zezwolić na obchód rocznicy 15 sierpnia 1920? Bo rozumiem, zlot Sokoła we Lwowie mógł zrobić pewną przykrość Ukraińcom, ale Cud nad Wisłą Polakom nie zrobił przykrości.

— Tak, ale OZN! Niemiło przypominać, że Zjednoczenie narodowe już dawno było osiągnięte i że OZN jest niepotrzebny.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.